AS



Nr. 43.

GRUDNIA 1935 R.

NA 40 GROSZY.

★

Najradośniejsza

LAUREACI

Konkursu „Asa" na najpiękniejszy uśmiech.



Pani Florentyna Szeczek — Warszawa, Bolechów 25.



Pani Jadwiga Stygarówna — Belna, powiat Gorlice.



Pani Lili Zielińska — Warszawa, Rymarska 16.



P. Irena K. — Zakopane.
Poniżej: Sławomir Kończak — Bydgoszcz, Promenada 61.



Pan Jan Siemiński — Lublin, Krakowskie Przedmieście 66.



Pan Edmund Alwin — Szubin, św. Marcina 1.



Zakończony w numerze 37 naszego Magazynu „Konkurs na najpiękniejszy uśmiech" przyniósł jury niezwykle obfity materjał w dziale pań, które najwięcej się interesowały tym oryginalnym turniejem.

Mężczyźni, bardziej w takich razach powściągliwi, nadesłali stosunkowo małą ilość swych ciekawych podobizn. Podzielone głosy Czytelników, które tylko na dwóch kandydatów padły w znaczniejszej ilości, a również i opinja jury zadecydowały o zmniejszeniu ilości nagród w tym dziale do dwóch, przyczem trzecia nagroda, którą miał być parasol-laska, została przeniesiona do działu pań jako czwarta nagroda w postaci modnej parasolki.

Szczegóły, odnoszące się do nagród, przyznanych poszczególnym laureatkom i laureatom, znajdą Czytelnicy na stronie 7 niniejszego numeru.

Numer świąteczny powiększony do 40 stron.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 43 | **Niedziela 22 grudnia 1935** | **Rok I**

GWIAZDKI NUMERU 43-GO:



ŻYCZENIA »WESOŁYCH ŚWIĄT« ŚLE WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM »ASA«
REDAKCJA

LUDOWE OBRAZKI RELIGIJNE



Trójca Święta. Huculski obraz na szkle.

Jeszcze 60 lat temu, nim czeskie, austrjackie, niemieckie i francuskie firmy graficzne zdobyły nasze miejsca odpustowe i jarmarki, jako świetne rynki zbytu na litograficzne i oleodrukowe obrazy religijne, rozwijało się bujnie malarstwo ludowe.

Były to czasy, kiedy sztuka nie zamykała się tak jak dzisiaj — w salonach kolekcjonerów, burżuazyjnych mieszkaniach, salach wystawowych i muzeach. Sztuka nie była wyzwolona z potrzeb życia i oderwana od gruntu społecznego. Nie znano frazesu: „sztuka, to wielka rzecz", ale za to obraz miał wartość społeczną.

Był on akumulatorem energji metafizycznej człowieka. — Był częstym podarunkiem dla Boga, ofiarą dla kościoła, kotwicą wiary, kierunkiem zasyłanych modłów, odgrywał ważną rolę w kulcie, będąc zastępczą formą Boga i świętych.

W czasie szerzącego się pożaru wynoszono z domu gromnicę i obrazy świętych, aby Bóg ocalił dom od ognia, a podczas burzy stawiano obrazy w oknach, aby swą nadnaturalną siłą chroniły dom przed piorunem. Obrazy są błogosławieństwem domu, szczególnie stare, po ojcach odziedziczone.

Panna młoda, opuszczając dom rodzinny, obraz otrzymuje w darze od swoich rodziców. Za szkłem obrazów przechowuje się kwiaty ślubnego wianka, kokardkę z pierwszej komunji, za obrazy zatyka się palmy wielkanocne, co chroni bydło przed chorobami, czarownicami, urokiem, a dom przed piorunem i pożarem.

Bywają obrazy tak cudowną mocą obdarzone, że leczą od chorób i porażenia piorunem, uspokajają burze, sprowadzają deszcze na spieczone pola, unoszą się w powietrzu, płyną pod prąd rzeki, wracają na dawne miejsce, z ognia wychodzą cało, pocą się krwią, płaczą krwawemi łzami, otaczają się jasnością i t. p. Możnaby napisać obszerną socjologję obrazu ludowego, w którejby znalazły wyraz przeróżne formy współżycia człowieka z obrazem.

Na tle szerokiej skali tego współżycia wyrastała społeczna wartość ludowych malarzy, zarówno tych, co w miasteczkach i wsiach mieszkając, zaspokajali lokalne potrzeby, jako też wędrujących z odpustu na odpust i z jarmarku na jarmark lub zapuszczających się w najodleglejsze wioski.

Do malowania brali się przemyślni majsterkowie, którzy nie zadowalali się jednym zawodem. Takim był Jan Rokicki z Marfianej Góry pod Kowańcem koło Nowego Targu, rzeźbiarz, zegarmistrz i malarz obrazów na szkle. Ignacy Lorek ze Starego Sącza, kuśnierz i rzeźbiarz, który, podpatrzywszy tajemnice techniki malarzy i złotników podczas odnawiania kościoła farnego, zmienił zawód kuśnierza na malarza.

Malarzem zwał się też Jan Rak z Husowa w pow. łańcuckim, chłop pańszczyźniany, oglądacz bydła i oglądacz zwłok, pisarz gminny, tkacz, rzeźbiarz świątków, „dumacz" wiejski i poeta wielkiego, samorodnego talentu. Malarzem ponoś był również Jan Nastaj z Goruszowa w pow. dąbrowskim, rzeźbiarz, wytwórca instrumentów muzycznych, czarownik, konstruktor skrzydeł ikarowych, na których próbował wzbić się w przestworza, a nawet, wedle legend ludowych, wynalazca robota w postaci świętego, co sam chodził i dziecka, co samo wyskakiwało z kołyski i płakało. Tajemniczością otoczyła legenda ludowa życie góralskiego artysty, Wojciecha Kułacha z Gliczarowa, zwanego Wawrzyńczakiem (1810 — 1894), rzeźbiarza, malarza i budowniczego, który w podróży po świecie o Rzym zawadził, a w prowadzonym przez się dzienniku pomieszczał główne pomiary i zestawienia zabytkowych budowli.

Takich ciekawych artystów, majsterków, samouczonych rzemieślników i twórców były rzesze. Dzieła ich zapełniają chaty wiejskie, kościoły i kapliczki przydrożne, gromadzą je muzea etnograficzne i niektórzy zbieracze. Wśród licznych plew wynajdują czyste, cenne ziarna. Sami jednak autorzy schodzą do grobu bezimiennie, a środowisko wiejskie i małomiasteczkowe nie uważa za potrzebne przechowywania ich w wiecznej pamięci. Wszak byli oni ludźmi społecznie użytecznymi, czynili zadość potrzebom swego otoczenia narówni z innymi rzemieślnikami, pracowali nie dla sławy, — wystarczało im w zupełności, jeśli najbliżsi uważali ich za pracowitych i bogobojnych ludzi.

Stąd to tak trudno odgrzebać choćby z przed półwiekowej przeszłości życie i czyny tych, którzy tworzyli zachwycające nas wdziękiem szczerości obrazy ludowe.

Najwięcej skupiało się ich koło miejsc odpustowych — Kalwarji i Częstochowy. Stąd zaś szlakami pielgrzymek rozchodziły się ich obrazy w najodleglejsze strony Polski. Widywało się z pocz. XIX w. na naszych większych odpustach oryginalne sceny. Obraźnicy zwozili tu swoje płótna, na którem namalowane były szeregiem obrazy reli-



W STAJENCE SIĘ NARODZIŁ

Naiwność rysunku i koncepcji artystycznej w obrazach religijnej sztuki ludowej doda-
dużo uroku malowidłom, które wyszły spod pendzla samorodnego malarza. Obr-



Św. Barbara. Obraz namalowany przez Rozalję Barańską z Zalipia.

gijne. Kto więcej płacił, otrzymywał więcej „obrazu" t. j. większą ilość zamalowanego płótna. Zamalowany zwój płótna traktowano więc taksamo, jak zwój wzorzystej materji, którą w dowolnem miejscu odcinać można.

Zgodnie z wymaganiami rynku wytworzyła się w niektórych ośrodkach specjalna technika malowania, przystosowana do masowej produkcji. Na kilkunastometrowym płacie płótna znaczono poprzecznemi linjami rozmiary i ilość obrazów, a na każdym odmierzonym kawałku zarysowano twarz w sposób schematyczny, poczem malowano nie każdy obraz osobno, lecz wszystkie razem t. zn. wszystkie karnacje wszystkie szaty, tła, ozdoby kwiatowe, koronki i t. p.

Tego rodzaju technika malowania istniała w I-szej połowie XIX w. wśród licznych malarzy, mieszkających w wielkopolskiem Skulsku. Wsławili się oni nietylko niepospolitą sprawnością w malowaniu obrazów religijnych ale talentem organizacyjnym. Około 1850 r. zawiązali oni kartel malarzy i rozprzedawców obrazów, a organizacją swoją objęli szerokie połacie kraju. Kiedy zaś kupcy Królestwa Polskiego zaczęli sami zaopatrywać swe skład w obrazy drukowane, obraźnicy skulscy zapuszczali się na wschód na Litwę, Białoruś, a nawet do gubernji pskowskiej. Wynajęci przez nich rozprzedawcy, obładowani towarem, rozchodzili się w różne strony, a w oznaczonym czasie i miejscu schodzili się, celem rozrachunku. Organizacja powyższa jest tem ciekawsza, że jej członkowie wytworzyli specjalną gwarę, którą posługiwali się w celach zawodowych. Że zaś obraz w tej gwarze zwał się „ochwest", przeto członkowie skulskiego kartelu zwali się między sobą „ochweśnikami". Gwara ta była wcale bujnie rozwinięta. Jeszcze w 1901 r. zdołał Stanisław Górka zanotować 195 wyrazów słowniczka ochweśnickiej gwary.

Ważniejsze od wszystkich historycznych szczegółów ludowego malarstwa są plastyczne wartości obrazów malowanych na szkle, papierze, płótnie i desce. Wartości tych nie mąci żadna spekulacja myślowa. Jasne poczucie stylu nadaje wielką zwartość najcudaczniejszym zestawieniom barw. Nad doborem bowiem barw nie ciążą malarzom nakazy naturalistycznego widzenia. Kolor na obrazach ludowych ma daleko ważniejsze zadanie, niż naśladowanie natury. Jest współczynnikiem dekoracyjnego zespołu i jednym z ważnych organów wykonawczych zdobniczego sensu całości obrazu.

Gdy w mrocznej izbie góralskiej lub jasnej świetlicy krakowskiej patrzymy na galerję obrazów skośnie pod powałą zawieszonych, radują nasze oczy kwiaty barw w cudownych zestrojach, naiwność formy, hokusajowska sprawność techniczna i wielka, pociągająca szczerość dziecięca we wszelkich odstępstwach od t. zw. prawdy.

Nieraz dziw bierze, w jaki sposób wiejscy i małomiasteczkowi prostaczkowie doszli do tak zadziwiających wyników swej pracy. Wiele składa się na to przyczyn, ale niezawodnie główną jest przyrodzony talent. Wiedzą o tem sami artyści ludowi.

Kiedy zapytałem się Andrzeja Wawry, beskidzkiego świątkarza z Gorzenia Dolnego, dlaczego nie maluje obrazów, odpowiedział mi:

— Mnie różno robota przez ręce przechodzi, ale obrazów nie powozom sie malować, bo jesce ludkowie naśmioliby sie ze mnie.

— A przecież znacie się na farbach i figurki swoje tak ładne malujecie...

— Figurki rzeźbie i maluje, ale obrazów nie powozom sie malować, bo bez łaski Pana Boga człowiek nic nie poradzi.

Dr Tadeusz Seweryn.



Św. Weronika. Podhalański obraz na szkle.

Coby było gdyby...



Kryzys, dewaluacja, inflacja, operacja, wojna, nowe podatki—co słowo, to coś przyjemniejszego — co słowo, to nowa klęska, spadająca na nas jak przysłowiowa dachówka. Człowiek dzisiejszy, to jest bytujący w R .P. (znaczy to Roku Pańskim, nie Rzeczypospolita) 1935, przypomina zająca, na którego puścili się myśliwi, a on sam złapany w „kociołku", zachodzi w głowę, jak się wywinąć z opresji.

Ale wyobraźmy sobie, że jakiś czarodziej z gatunku super-Marconich, zmienia oblicze świata i usuwa wszelkie dzisiejsze nasze przykrości. Urzędy podatkowe rozsyłają zaproszenia do swych płatników na „dancing-bridż", w bankach można się zaopatrzyć w gotówkę, która stertami leży po stołach, hitlerowcy, „Croix de Feu" i faszyści, nie myśląc oczywiście o wojnie, grają bądźto w chowanego z własnym cieniem, bądź też w piłkę nożną, a formularze wekslowe używa się podczas świąt „pod placki". Po kilku miesiącach takiej sielankowej egzystencji, zaczyna robić się nam poprostu głupio! Nie możemy się jakoś zżyć ze zmienioną sytuacją.



Zegadłowicz właśnie co ukończył 79 tom...

Zabawa? Owszem, bawimy się. Teatr, kino, kolacyjki, flirty różne, dosyć zabawne to wszystko, ale po pół roku również nas znudzi.

Tak podniecająca dzisiaj lektura dzienników, zastępuje najlepszy środek nasenny. Bo o czemże pisać? Dawno już wojna abisyńsko - włoska się skończyła. Włosi żyją z Abisyńczykami w najlepszej zgodzie, eksploatują na spółkę naftę, marszałek de Bono doczekał się tak długiej brody, że dwóch oficerów ordynansowych nosi ją na poduszce przed nim. Cesarza Haile Selassie krucze włosy zmieniły się w białe i cesarz przypomina patrjarchę ze Starego Testamentu, podczas gdy Mussolini, ciągle będący dyktatorem Włoch, przedstawia obraz zgrzybiałego starca. A cóż dopiero powiedzieć o zmianach, jakie zaszły w innych dziedzinach życia? Nasza ukochana, urocza Malicka przypomina starą papugę, o olbrzymim krogulczym nosie i migocących oczach. Zegadłowicz właśnie co ukończył 79 tom „Mikołaja Srebrempisanego" a Kaden-Bandrowski podjął się zadania stworzenia dalszych 6 części „Mateusza Bigdy", doprowadzając bohatera po licznych perypetjach do 103 roku życia. Polska Akademja Literatury również doczekała się pociechy: oto pod Warszawą zakupiono kilkanaście mórg pola, na którem według wszelkich przepisów... literatury zasadzono gaj drzewek mirtowych i bobkowych. Z gaju wyrósł istny las, w którym krążą wilki, niedźwiedzie i hjeny. Właśnie nakręcają dwusetny film o ułanach polskich, przyczem rolę panny z dworku gra Smosarska, wachmistrza Walter, a pułkownika rosyjskiego Samborski. Film oczywiście jest już trójwymiarowy, to też aktorzy zgrywają się w trzech wymiarach, nadwyraz plastycznie. Dla Kiepury, który posiada długą, puszystą i nadwyraz fotogeniczną brodę, udźwiękowiono „Króla Leara" w postaci miłej operetki. Kiepura jako król Lear jest niezastąpiony a występy jego spowodowały znaczne podniesienie się lira włoskiego. Jenerał Wieniawa-Długoszowski również nieco się postarzał, a poza trącaniem się kieliszkiem żarty jego trącą myszką.



Kiepura ma długą, puszystą brodę...



Gen. Długoszowski wkońcu się postarzał.

Takby mniejwięcej wszystko wyglądało.

Czyżbyśmy w takim świecie wytrzymali? Nie, stokrotnie nie. Najwięksi pacyfiści zaczęliby spiskować, w celu spowodowania wojny tylko poto, aby się wkońcu coś działo, najłagodniejsi w świecie ludzie mordowaliby skrytobójczo członków swej rodziny jedynie nato, aby pisma miały o czem pisać, a najuczciwsze zresztą żony zaczęłyby zdradzać swych mężów „na potęgę", by wkońcu powstawały jakieś plotki.



Włosi żyją z Abisyńczykami w najlepszej zgodzie...



...zasadzono gaj drzewek laurowych...

Lecz nie mamy powodu, przynajmniej w obecnej chwili spodziewać się takiej stagnacji życiowej. Cieszmy się, bo dzieje się dużo różnych efektownych rzeczy, jest się czem denerwować i cieszyć, z czego płakać i zacierać ręce.

Jan Godziemba.

Wynik konkursu „Asa" na najpiękniejszy uśmiech

Jury, złożone z członków redakcji Koncernu „IKC," przyznało na podstawie nadesłanych przez Czytelników głosów nagrody następującym paniom i panom:

PANIE:

I. Nagrodę w postaci minjatury Kazimiery Dąbrowskiej zdobyła p. Florentyna Szczek, zamieszkała Warszawa, Bolechów 25 — pseudonim „Pułkownikowa S.". — Głosów oddano: 1864.

II. Nagroda w postaci kryształowej zastawy na toaletę przypadła w udziale p. Jagnie Stygarównej, zam. Belna, powiat Gorlice. — Pseudonim „Jagna z Podkarpacia". — Głosów oddano 1238.

III. Nagroda w postaci wytwornej torebki ze skóry krokodylowej przyznana została p. Irenie K., zam. w Zakopanem, której nazwiska i adresu nie otrzymaliśmy. Z tego powodu prosimy piękną laureatkę o jak najrychlejsze podanie nam tych szczegółów celem przesłania nagrody. Oddano głosów: 906.

IV. Nagrodę w postaci składanej parasolki jedwabnej zdobyła p. Lili Zielińska, zam. Warszawa, Rymarska 16. — Pseudonim „Lili Z. — Warszawa". — Głosów oddano: 518.

PANOWIE:

I. Nagroda w postaci portretu, który wykonany zostanie przez Stefana Norblina, przypadła p. Janowi Siemińskiemu, zam. Lublin, Krakowskie przedmieście 66. — Pseudonim „Lublinianin". — Głosów oddano: 114.

II. Nagrodę w postaci luksusowego aparatu fotograficznego zdobył p. Edmund Alwin, zam. Szubin, św. Marcina 1. — Pseudonim „Nieznany — Inowrocław". — Głosów oddano: 63.

Wśród dzieci wyróżnił się mały góral z Bydgoszczy, Sławomir Kończak, zam. przy ul. Promenada 61, który też otrzymał największą ilość głosów i co zatem idzie, piękną nagrodę, wyznaczoną przez Redakcję poza konkursem.

Fotografje nagród zostały zamieszczone na stronie 30 niniejszego numeru. W następnym zapoznamy Czytelników z tymi wszystkimi, którzy na skutek głosów Czytelników zostali w naszym Konkursie wyróżnieni.

Równocześnie wszystkim laureatom składamy serdeczne gratulacje, a Czytelnikom dziękujemy za tak liczny udział w głosowaniu.

Redakcja.

Dzień wigilijny w Paryżu.

RYSUNKI J. M. BRZESKIEGO



Ulica kabaretów przy Placu Pigalle w Paryżu.

Wstał szary dzień.

Ulice wymęczone, oślizgłe od mgły, która teraz otula szczyty Notre Dame. Dymy o zapachu spalonej benzyny i gorzkiej oliwy snują się leniwo za przechodniami; wciskają się do otwieranych bram.

Zgrzyt hamulców autobusu pod oknami wąskich domów. Jest wcześnie. Ulicą przejeżdżają śmieciarki, jęcząc trybami. Rynsztoki wymyto świeżo. Przy krawężnikach stoją kubły z odpadkami. Żelazne kraty sklepów rzeźniczych otworzono, i można zbliska wybrać kawał wołu z wbitą na zielonym listku koniczyny — ceną.



Na okres świąt bulwary zapełniają się jarmarcznemi budami.

W bramie narożnego domu, zwinięty w kabłąk kot patrzy leniwie na lepki dzień za progiem. W kawiarniach, przy barach pije się teraz kawę. Przychodzą też ludzie w ogipsowanych kitlach, czasem w skórzanych kurtkach, wypijają „czerwone" i odchodzą spiesznie do swych rusztowań i aut.

W restauracjach robią o s t a t n i e przygotowania — Wiesza się zielone girlandy. Na szybach bielą się wylepione od tygodnia cenniki kolacyj wigiljnych. Indyk na pierwszem miejscu. Ceny menu wahają się od 15 do 1.500 franków od osoby.

Dworce kolejowe mgliste i pełne ech, jak wszystkie stacje wielkich miast. Nieznane gwizdki lokomotyw — nawołujących się ostro, nerwowo. Wielkie ekspresy stoją opuszczone.

Po peronach, w przejściach i w hallu snują się korowody ludzi z prowincyj. Wkoło brzęczą automaty z czekoladą i temi amorkami, podobnemi do brukselskiego „Maneken Piss", które tryskają wodą kwiatową.

Panie w niemodnych kapeluszach, z których zdjęto tylko co wyblakłe papugi i wieńce — przyjechały z Rouen czy Marsylji i pachną jeszcze perfumami „fin du siecle".

Mgła opadła i ludzie poruszają się teraz wśród domów i ulic, jak w kole cieni.

Rivoli — po przebrzmiałych triumfach najazdu anglosasów — pulsuje dawnym rytmem. Środkiem jezdni leje się potok aut, tamowany błyskami świateł. Pod arkadami naprzeciw Louvréu tak samo jak pod fontannami na Placu Zgody można kupić te zakazane fotografje o nieprzyzwoitych, różowych odcieniach.

Za witrynami wielkich magazynów bawią się lalki, nosząc w sercach tryby mechanizmów. W megafonach płaczą gawoty, mieszając się we mgle z biciem dzwonów.

U dołu: Domy nad Sekwaną — zawsze ciche, pogrążone w zadumie.



Koło Lafayette rozpięto ekran nad ulicą. Mur przechodniów twardnieje. Rozpoczyna się przedstawienie. Dzieci klaszczą w dłonie, a dorośli czytają sprytną reklamę, kończącą film. Chodzi o mydło, które czyni skórę aksamitnie gładką.

Tłum kłębi się, wiruje, wlewa do wnętrz magazynów i znów powraca na chodniki. Dzień mija jak seans w kiine. W miarę, gdy zbliża się ku końcowi, napięcie u widzów rośnie.

Domy giną wśród mroku. Przez pewien czas trwa niepokój i oczekiwanie. Potem wybuchają światła, drgają, migocą, mienią się i poruszają.

Girlandy lampionów uwieszone nad ulicami błyszczą biało. Olbrzymich rozmiarów obrazy, ułożone z żarówek, poruszają się i migocą na tle kamienic i czarnego, ciepłego nieba.

Niezadługo światła zgasną i miasto zastygnie w oczekiwaniu wigilijnej godziny.

* * *

Środkem bulwaru, przecinającego Montmartre, ciągnie się korowód jarmarcznych bud. Szum toczących się karuzel wypełnia wieczór. W restauracjach zasiedli już do stołów ludzie. Toalety, fraki i zwyczajne ubrania obok tanich bluzek w groszki z perkalu po 6 sousów za metr. Wigilję zjada Francja w restauracjach.

Montmartre przeżywa swój wielki dzień. Dzień, w którym cały Paryż, wszystkie dzielnice, prowincja i tłumy przyjezdnych z zagranicy odwiedzają tę modną dzielnicę.

Podczas, kiedy na Champs Elysée ucztują w Claridge i Royale miljonerzy i złodzieje, kiedy koło Madelaine nudzą się wnukowie tych, którzy pozostawili w spuściźnie opowiadania o „Maximach" i tradycje panów Duval — na Montmartre i Montparnasse bawią się wszyscy.

Kiedy kolacja dobiegnie końca, kabarety zapełnią się do ostatniego miejsca. Tymczasem tancerki i kelnerzy uśmiechają się do pieczonego indyka.

14 lipca jest świętem oficjalnem, świętem robionem. Umie go obchodzć tylko Plac Bastylji. Wtedy robotnicy włoscy i polscy z okolic rue de Lappe potrafią odtworzyć francuski tłum rewolucyjny. W kaszkietach ucztują oni na przyśrubowanych do ziemi krzesłach.

Boże Narodzenie jest w Paryżu świętem przeżywanem. Nie trzeba ustawiać w tym dniu orkiestr na ulicach. Każda zabawa udaje się.

* * *

Kelnerzy w restauracjach pozbierali talerze i puste butelki.

Przy Placu Pigalle, w kabaretach oznaczonych nazwami na rażących szyldach — tańczą nagie dziewczęta i niebiescy Murzyni. Gdy ukończą swoje popisy i zejdą z parkietów, sala zapełni się tańczącemi parami.

Dotychczas nikt nie śpiewał kolend. Ani stara Mistinguette, ani zapomniana Baker nie odważyła się w tym nastroju podjąć tych pieśni.

Zdarza się, że z wytwornych kabaretów wychodzą o północy oryginalne postacie, by pójść na Pasterkę. Nawet modnie jest pokazać się w Notre Dame. Zazwyczaj śpiewa chór i soliści. Goście w modnych toaletach wykupują bilety wstępu za parę franków, które następnie kontroluje przy gotyckich bramach szanownej świątyni — bileter.

* * *

Jest późno. Przy stolikach kawiarń pije się dużo i mówi głośno. Na Montparnasse można obejrzeć o tej godzinie przedstawicieli wszystkich narodów podchmielonych i pijanych. Są weseli, głośni, posępni. Amerykanie boksują się. Francuzi obracają spór w żart.

Sznury aut czekają przy rogach ulic. Szoferzy tak jak rano popijają czerwone wino, lub grają w automatach. Kawiarnie pustoszeją.

Jeszcze nad ranem będą się snuć ulicami chwiejne pary, które święciły paryską wigilję w kabaretach bez śniegu i kolend.

Tego dnia nikt nie pozostał w domu — więc nawet w podrzędnych kawiarniach i niecickawych kabaretach brakuje miejsc. — Ludzie czekają na stolik, jeżdżąc na karuzeli przy Blanche, lub strzelając z wiatrówek do porcelanowych precli w strzelnicach.

Niema śniegu i miasto skąpane w kolorowych światłach jest bardzo głośne. Hałaśliwie brzmią śmiechy widzów i dziewcząt, które trafione gumową piłką wypadają z łóżek.

Jeżeli ktoś przyzwyczaił się do bieli puszystych śniegów, skrzących się kryształów lodu, ciszy, która zawisa nad miastem i rozśpiewanych wigilij polskich — niech lepiej nie szuka w tym dniu szalonej zabawy. Łatwiej wtedy można zostać opuszczonym i zawiedzionym

j. m. b.



Przed przedstawieniem.



W małym barze na przedmieściu przy dźwiękach akordeonów.

U dołu: Przy bulwarze Montparnasse w Paryżu





Zdolna artystka teatrów warszawskich, Irena Eichlerówna w stylowym kostjumie.

KTO JEST „NA USTACH" CAŁEJ WARSZAWY?

IRENA EICHLERÓWNA.

Na firmamencie teatralnym Warszawy, na którym wśród plejady gwiazd i gwiazdeczek różnej wielkości i rodzaju jaśnieją słońca i gwiazdy pierwszej jakości, o ustalonej sławie, powodzeniu i zdolności promieniowania, od czasu do czasu zapala się nowa, dotąd nieznana gwiazda. Czasami jest to meteor o fałszywym blasku, który narobiwszy krzyku i huku zapada się w nicość i mrok zapomnienia, czasami jest to jakaś kapryśna planeta, która szybko schodzi z naszego nieboskłonu, by wędrując dalej, przyświecać innym lądom i morzom, lub gasi ją przedwcześnie obojętność widzów i niepomyślna konstelacja.

Ale zdarza się, że taka nowa gwiazda zapala się i nie gaśnie. Świeci mocnym blaskiem prawdziwego, rzetelnego talentu. Tak właśnie zajaśniała w Warszawie przed niespełna trzema laty p. Irena Eichlerówna jako „Fräulein Doktor", w sztuce, granej w Teatrze Polskim z olbrzymiem powodzeniem.

Młoda artystka, mająca za sobą zaledwie trzy lata pracy na scenie w Wilnie, Krakowie i Lwowie, potrafiła szturmem wziąć Warszawę, nie zawsze skłonną do złożenia broni przed przybyłą z prowincji młodą siłą. „Fräulein Doktór" szła coś sześćdziesiąt razy. Była to zasługa nietyle interesującej sztuki, co artystki, kreującej tytułową rolę, kobiety-szpiega. Jej ciekawe podejście do roli, wielki spokój w grze przy silnej ekspresji dramatycznej, w połączeniu z oryginalną fascynującą urodą stwarzały razem całość, stojącą na wielkiej wyżynie artystycznej.

P. Eichlerówna zostaje zaangażowana do Teatrów Szyfmanowskich w Warszawie — pozatem nakręca film „Wyrok życia", ale już po roku sprawy rodzinne odrywają ją od sceny. Na szczęście nie trwa to długo i oto w tej chwili nazwisko tej świetnej artystki jest na ustach całej teatralnej Warszawy. Jej Szimena w "Cydzie", granym obecnie w Teatrze Narodowym, to karta pisana złotemi głoskami w kronikach teatrów stołecznych. Prasa uderzyła w wielki dzwon, jeden z poważnych krytyków postawił nazwisko Eichlerówny obok nazwiska Jaracza.

Oto Szimena, jakiej jeszcze nie było! Stała się pierwszą osobą dramatu, na którejześrodkowuje się cała uwaga widzów: taka, jaką ją widział poeta, tworzący swe natchnione strofy. Dumna, nieugięta córa don Gomeza i słanająca się w bólu, namiętna i tkliwa kochanka Rodryga. I te dziwne oczy, o lekko skośnej linji, ciskające błyskawice gniewu, to znów zasnute mgłą smutku i łez!

— Patrzcie, ona naprawdę płacze — słychać szepty wśród publiczności, podczas wzruszającej sceny pożegnania Szimeny z Rodrygiem.

Taką zapłakaną znajduję p. Irenę w jej garderobie, podczas antraktu. Poprawia „nagwałt" charakteryzację.

— Te łzy — tłómaczy się artystka — to zupełnie bezwiednie, bez mojej woli, nie staram się bynajmniej płakać. Mam potem straszny kłopot z oczami, pani rozumie, tusz, sminka... Ale, ilekroć gram rolę, która mi odpowiada, zawsze się mocno przejmuję. A już Szimeną specjalnie...

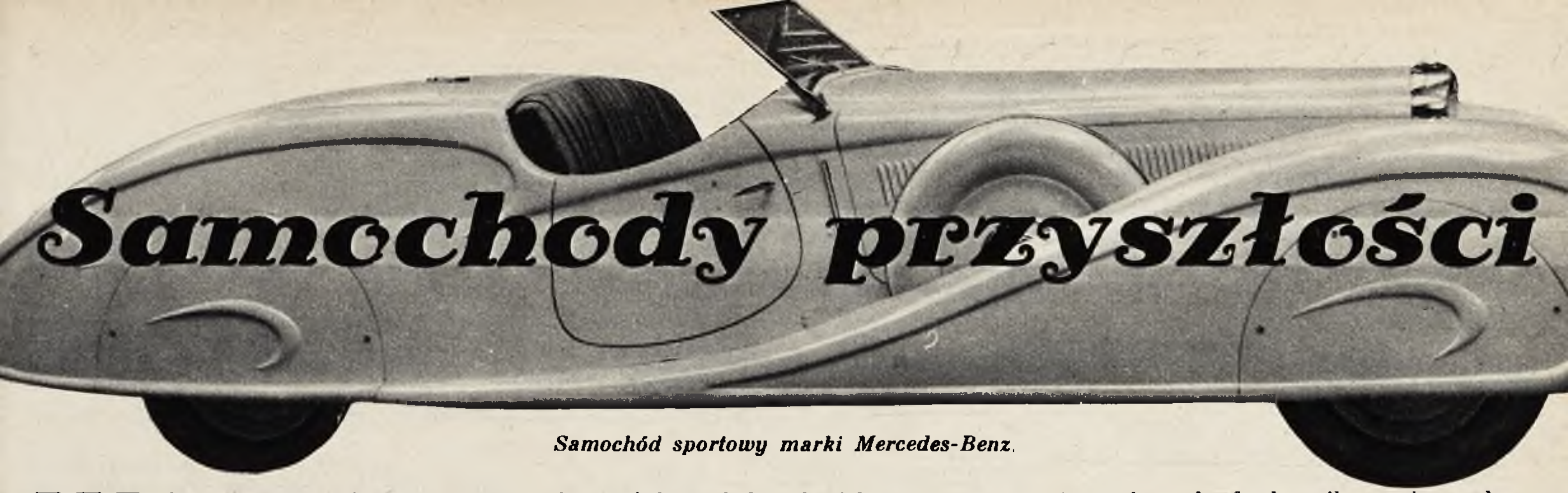
— Czy można się dowiedzieć, jakie są pani plany na przyszłość? W czem Warszawa będzie panią znów podziwiać?

— Na razie nie mogę nic konkretnego powiedzieć. Nie jestem związana żadną umową. Mam kilka propozycyj i do filmu i do teatrów, ale pociąga mnie najwięcej zagranie jakiejś dobrej, mocnej roli roli z Jaraczem. Ale to jeszcze nie tak prędko. Jaracz musi wygrać swoją „Trójkę hultajską", a ja muszę odpocząć po Szimenie.

Zofja Ordyńska.



Lekko skośne oczy dodają urodzie Ireny Eichlerównej nieco egzotyzmu.



Samochody przyszłości

Samochód sportowy marki Mercedes-Benz.

Współczesna elegancja i wykwint łączą się — rzecz prosta — z wszystkiemi nowoczesnemi wynalazkami, które stały się dla ogółu zaszczytnym symbolem postępu. Dotyczy to w pierwszym rzędzie samochodu, który stał się dla współczesnej generacji niejako drugim domem. Ileż pomysłów zrealizowano już dotychczas celem udogodnienia pod każdym względem pobytu człowieka w samochodzie! Przecież niektóre typy aut fabryk zagranicznych przypominają wygodny buduar, czy gabinet mknący na kołach w nieznaną dal.

Wszystko, co dotychczas uzyskano w zakresie komfortu i techniki samochodowej, nie zadowalnia jeszcze zarówno konstruktorów, jak publiczności, która już niejako „dla zasady" żąda czegoś nowego, coraz oryginalniejszego i coraz praktyczniejszego.

Jeszcze na dobre nie zadomowiła się linja opływowa, czyli aerodynamiczna najnowszych samochodów, a już pojawiają się nowe pomysły i nowe formy. Najwidoczniej linja aerodynamiczna nie spełnia wszystkich pokładanych w niej nadziei. Czy uczynią to nowe projektowane samochody, to inne pytanie. W każdym razie niespokojny duch konstruktorów samochodowych tworzy coraz to nowe kształty dla samochodów i znajduje się ciągle w poszukiwaniu idealnego jego typu. Podajemy dzisiaj naszym czytelnikom dwa niezmiernie ciekawe projekty, już zresztą zrealizowane. Wprawdzie realizację przeprowadzono nie na skalę wielką, seryjną, ale na razie istnieje z każdego rodzaju po kilkaset wozów, jakby dla dania możności fachowcom zapoznania się z walorami nowych wozów, a publiczności przyzwyczajenia się do dziwacznego bądźcobądź ich kształtu. A więc widzimy w pierwszym rzędzie samochód, który radykalnie zerwał z dotychczasowym sposobem ustawienia kół w samochodzie. Na przodzie i w tyle znajduje się po jednem kole tak, jak u roweru, w środku zaś znajdują się dwa koła na jednej osi. Silnik umieszczony jest na trzech tylnych kołach. Koła środkowe są napędzane bezpośrednio przez silnik. Samochód ten ma podobno być bardzo obrotny i pod tym względem zbliżony jest do motocykli. Ten układ kół umożliwia nadanie karoserji idealnej, niemal linji aerodynamicznej.



Oto jeden z oryginalniejszych modeli samochodów na wystawie automobilowej w Berlinie w r. 1935.



Współczesny autobus przypomina jeżdżący na kołach pokój, dając pasażerom wszelkie wygody.

Według drugiego zaś projektu samochód nie jest idealnie aerodynamiczny, natomiast budowa jego różni się też radykalnie od budowy dotychczasowych samochodów. — Ma on wprawdzie z przodu i z tyłu po dwa koła, ale pod żadnym innym względem nie jest do nich podobny. Motor umieszczony jest z tyłu, siedzenia w wozie zupełnie ruchome, a zatem nie stałe fotele, tylko ruchome krzesła i stolik. Jedynie kierowca ma miejsce stałe. Nowy ten wóz nazywa się „skarabeusz", gdyż przypomina z zewnątrz nieco to stworzenie. W wozie tym dzięki zmianie układu miejsc siedzących jest podobno dużo miejsca wolnego, a nawet wygodne miejsce do stania. Z przodu sięgają miejsca siedzące aż tam, gdzie inne wozy mają chłodnicę i silnik. Wóz ten, jak już powiedziano, niema idealnej linji aerodynamicznej. Posiada silnik 8-cylindrowy o mocy 100 KM o średniej szybkości 110 km na godzinę. Nie posiada on wogóle stopni ani też błotników. Budowa jego jest bardzo stateczna. Szybkość jego coprawda nie jest zbyt wielka, ale zdaniem konstruktorów większa szybkość jest zbyteczna, gdyż w miastach i na uczęszczanych szosach nie da się i tak większej szybkości osiągnąć.

Chociaż niewiadomo, czy nowe projekty nie są tylko ważkami jednodniowemi, to jednak warto poznać, jakiemi drogami podąża myśl konstruktorów samochodowych.

Inż. A.

WYSPA AEPYORNISA

N ★ O ★ W ★ E ★ L ★ A

H. G. WELLS **PRZEKŁAD AUTORYZ. W. DE RICHE**

Człowiek z blizną na twarzy przechylił się przez stół i zajrzał do mego worka.

— Storczyki? — zapytał.

— Kilka — rzekłem.

— Cypripedia — dodał.

— Tak.

— Nic nowego? Tak sobie myślałem. Zwiedziłem tę wyspę przed dwudziestu pięciu — dwudziestu siedmiu laty. Gdybyś pan znalazł coś nowego, musiałoby to być zupełnie nowe. Niewiele zostawiłem.

— Nie jestem zbieraczem — odparłem

— Byłem wtedy młody — rozpoczął opowiadanie. — Mój Boże! Lubiałem włóczyć się po świecie — zwrócił się do mnie.

— Byłem przez dwa lata w Indjach Wschodnich, a siedem w Brazylji. Potem wybrałem się na Madagaskar.

— Znam kilku zbieraczy z nazwiska — rzekłem, przeczuwając, że będzie to dłuższe opowiadanie. — Dla kogo pan pracował?

— Dla Dawsonów. Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Butchera?

— Butcher — Butcher? — Coś sobie przypominałem. Ah! Firma Butcher i Dawson. Czyżby pan był owym człowiekiem, który skarżył ich o zapłatę za cztery lata? Który przebywał na bezludnej wyspie...

— Do usług — rzekł człowiek z blizną, z uprzejmym ukłonem. — Dziwna przygoda, nieprawdaż? Zarobiłem sobie trochę pieniędzy na tej wyspie, nic nie robiąc. Bawiło mnie to często w czasie pobytu na niej. Robiłem obliczenia — wielkie obliczenia — wypisując piękne cyfry na pasku całego atolu.

— Jak się to stało? — zapytałem — Nie przypominam sobie dokładnie.

— Hm!... Czy słyszał pan kiedy o Aepyornisach?

— Coś nie coś. Andrews wspominał mi o nowym gatunku, nad którym pracuje, zaledwie przed miesiącem. Tuż przed moim wyjazdem. Miały kości podudzia długie prawie na yard. Musiały to być ogromne ptaki.

— No! Myślę! — rzekł człowiek z blizną. — Były ogromne. Sindbadowski ptak Skała im tylko zawdzięcza swoje legendarne wzmianki. Ale w jakim czasie znaleziono te kości?

— Zdaje mi się, że przed trzema lub czterema laty. Czemu się pan pyta?

— Ponieważ ja je pierwszy znalazłem — prawie przed dwudziestu laty. Gdyby Dawson nie odmawiał mi zapłaty, mógłby zrobić na nich dobry interes.

Przerwał na chwilę. — Przypuszczam, że to w tem samem miejscu Na bagnie, w odległości dziewięćdziesięciu mil na północ od Antanarivo. Nie pamięta pan? Dostęp możliwy jest tylko łodzią?

— Nie pamiętam. Ale zdaje mi się, że Andrews wspominał mi coś o bagnach.

— To musi być w tem samem miejscu. Na wschodniem wybrzeżu. Woda ma tam dziwny zapach, jakby kreozotu Przypominała mi Trinidad. Czy znaleziono więcej jaj? Niektóre z jaj, znalezionych przezemnie były długie na półtorej stopy. Bagno ma kształt kolisty. I jest słone.. Przypominam sobie dobrze te czasy. Jaja znalazłem przypadkowo. Wybrałem się na poszukiwanie z dwoma tubylcami na związanych razem łodziach i znalazłem najpierw kości. Mieliśmy ze sobą namiot i żywność na cztery dni i wylądowaliśmy na jakiejś wysepce wśród bagna. To przypomina mi znowu ów dziwny zapach smoły. Praca poszukiwacza nie jest łatwą. Trzeba grzebać w mule przy pomocy żelaznych wideł. Zazwyczaj jaja są rozbite. Nie wiem, kiedy właściwie żyły te Aepyornisy. Misjonarze opowiadali mi, że tubylcy wspominają o czasach, kiedy istniały, ale ja sam o niczem podobnem nie słyszałem. Jednakże wyłowione przez nas jaja były świeże, jakby je niedawno złożono. Świeże! W czasie przenoszenia ich do łodzi jeden z moich murzynów upuścił jedno z nich na skałę, gdzie się rozbiło. Zbiłem bydlaka na kwaśne jabłko! Ale smak miało dobry i nie cuchnęło, jakby było świeżo złożone, a nie przed jakiemiś czterystu laty. Murzyn tłumaczył się, że ugryzła go stonoga. Ale wracam do mojej historji. Cały dzień zeszedł nam na grzebaniu w błocie, z którego wydobyliśmy jaja w stanie nieuszkodzonym i wszyscy byliśmy pokryci wstrętnym czarnym mułem. O ile wiem, były to jedyne jaja, które wydobyto nienaruszone. Oglądałem później okazy w londyńskiem Muzeum Historji Naturalnej; wszystkie były rozbite, a tylko zlepione, jak mozajka, z brakującemi kawałkami. Moje były całe i zamierzałem po powrocie drogo je sprzedać. Rzecz prosta, nie mogłem zapanować nad gniewem, jaki budził we mnie ten głupiec, który z powodu stonogi zniszczył owoc trzechgodzinnej pracy. Toteż nie żałowałem mu cięgów.

Człowiek z blizną wyjął glinianą fajkę. Przysunąłem do niego mój kapciuch z tytoniem. Napełnił ją bezmyślnie.

— A cóż się stało z innemi? Czy przywiózł je pan do domu? Nie przypominam sobie...

— To właśnie najciekawsze. Miałem jeszcze trzy. Zupełnie świeże jaja. Włożyliśmy je do łodzi, poczem udałem się do namiotu, aby ugotować kawy, pozostawiając moich dwóch pogan w zatoce. Jednego, który szalał z powodu swego ukąszenia i drugiego, który mu w tem pomagał. Nie przypuszczałem, że to bydlę będzie chciało wykorzystać sytuację i wszcząć bunt. Mam jednak wrażenie, że ukąszenie stonogi i sposób, w jaki się z nim obszedłem, wyprowadziły jednego z równowagi — a ten przekonał drugiego.

— Przypominam sobie, że siedziałem, paląc fajkę i gotując wodę nad lampką spirytusową, którą zwykle zabierałem z sobą na wyprawy. I przyglądałem się zachodowi słońca nad bagnami. Piękny był to widok — wszystko czarne i czerwone w dwóch nad sobą leżących smugach. A dalej, aż do wzgórz, szara mgła pod niebem czerwonem, jak żar w piecu. Za mną zaś, w odległości pięćdziesięciu yardów, ci przeklęci poganie zupełnie obojętni na piękno tego widoku, zmawiali się, aby odciąć łódź i zostawić mnie na bagnach z żywnością na trzy dni i namiotem, ale bez wody. Usłyszałem nagle jakiś hałas i ujrzałem ich w łodzi — nie była to właściwie łódź — w odległości może dwudziestu yardów od brzegu. W jednej chwili, zrozumiałem, co to znaczy. Strzelbę miałem w namiocie. ale tylko nabitą śrutem. Wiedzieli o tem. Ale miałem przy sobie rewolwer. Wyjąłem go z kieszeni i pobiegłem na brzeg zatoki.

— Wracajcie! — zawołałem, mierząc do nich.

Zaczęli coś krzyczeć, a ten, który rozbił jajo, roześmiał się na głos. Wycelowałem do drugiego — ponieważ wiosłował i nie był ranny, wystrzeliłem. Strzał chybił. Zaczęli się śmiać. Ale nie byłem nowicjuszem. Wiedziałem, że muszę zachować zimną krew. Wziąłem go znowu na cel i tym razem trafiłem go w głowę. Wypadł z łodzi, a wiosło razem z nim. Był to szczęśliwy strzał, jak na rewolwer. Sądzę, że odległość wynosiła pięćdziesiąt yardów. Poszedł na dno. Nie wiem, czy go zastrzeliłem, czy też był tylko ranny i utopił się. Teraz zacząłem wołać na drugiego, aby wrócił, ale ten skulił się w łodzi i nie odpowiadał. Wystrzeliłem jeszcze kilka razy z rewolweru, ale chybiłem.

— Powiadam panu, że znalazłem się w kropce. Z jednej strony bagno, z drugiej morze, zimne po zachodzie słońca, i na niem coraz bardziej oddalająca się łódź. Przeklinałem w tej chwili Dawsonów, Jamrachów i wszystkie muzea. Dawałem znaki murzynowi, aby powrócił i wołałem, dopóki nie zachrypłem.

— Nie pozostawało nic innego, jak popłynąć za nim, o ile rekiny na to pozwolą. Otworzyłem zatem nóż i włożyłem go między zęby, a potem, zdjąwszy ubranie, weszedłem do wody. W wodzie straciłem łódź z oczu, ale płynąłem stale w tym kierunku. Liczyłem się z tem, że murzyn jest zbyt słaby, aby nią kierować i że płynąć będzie z wiatrem. Nagle ukazała się znowu moim oczom w kierunku południowo-zachodnim. Zapadał już zmierzch. Na błękicie niebios zaczęły pojawiać się gwiazdy. Płynąłem, jak champion, choicaż bolały mnie ręce i nogi.

— Ale dopłynąłem do łodzi, kiedy zaczęła zapadać noc. Teraz, w ciemnościach widziałem w wodzie mnóstwo fosforyzujących przedmiotów. Czasami wzdrygałem się. Nie mogłem rozróżnić gwiazd od fosforescencji, ani zdać sobie sprawy, czy płynąłem na głowie, czy też na nogach. Łódź była czarna, jak grzech, a woda pod nią, jak płynny ogień. Wdrapałem się do niej. Przedewszystkiem chciałem się upewnić, co się stało z murzynem. Leżał, zwinięty w kłębek, na dnie łodzi. Kręciła się ona zwolna na falach, jak podczas walca. Podszedłem do steru, spodziewając się, że murzyn się ocknie. Ująłem nóż w rękę, gotowy do walki. Ale nie ruszył się nawet. Usiadłem zatem przy sterze małej łódki, zdanej na łaskę losu, na spokojnem, fosforyzującem morzu, pod gwiaździstem niebem i zacząłem wyczekiwać niewiadomo na co.

— Po pewnym czasie zawołałem na niego po nazwisku, ale nie odpowiedział. Byłem zbyt zmęczony i nie chciałem narażać życia, podchodząc bliżej. Siedzieliśmy zatem naprzeciw siebie. Zdaje mi się, że się nawet zdrzemnąłem. O świcie przekonałem się, że był zimnym trupem, spuchniętym i czerwonym. Trzy jaja i kości leżały na dnie łodzi, beczułka z wodą i trochę kawy oraz sucharów, zawiniętych w kapsztadtską gazetę, u jego stóp, a puszka ze spirytusem metylowym pod nim. Nie było wioseł i wogóle niczego, poza puszką ze spirytusem, przy pomocy której mógłbym wiosłować, postanowiłem zatem płynąć z

O KAY! LITTLE BOY...

Miss Stone, córka słynnego aktora filmowego, w jednej ze scen



wiatrem, dopóki mnie ktoś nie znajdzie. Oglądnąłem trupa, przekonałem się, że umarł od ukąszenia węża, skorpiona lub stonogi i wrzuciłem go do morza.

— Potem napiłem się trochę wody, zjadłem kilka sucharów i rozglądnąłem się dokoła. Madagaskaru nie było widać... nie było widać lądu wogóle W oddali, na południowym zachodzie ujrzałem żagiel, ale bardzo daleko. Słońce stało już bardzo wysoko na niebie i upał zaczął mi dokuczać Boże! Co za straszliwy upał! Próbowałem chłodzić głowę wodą, ale po chwili oczy moje spoczęły na kapsztadtskim Argusie, położyłem się więc na dnie łodzi i przykryłem się gazetą. Błogosławiłem tę gazetę. Przeczytałem ją od deski do deski, może z dwadzieścia razy. Stała mi się w czasie mojej samotnej podróży prawdziwym skarbem. Smoła, jaką łódź była wylana poprostu gotowała się od gorąca.

— Spędziłem tak dziesięć dni — mówił człowiek z blizną. — Łatwo to powiedzieć. Jeden dzień podobny był do drugiego. Zaledwie rano i wieczorem odważałem się wychylić głowę, aby rozglądnąć się, gdyż fala była straszna. Dopiero po trzech dniach zobaczyłem żagiel, ale nie zauważono mnie. W nocy, szóstego dnia, minął mnie w odległości pół mili jakiś okręt, z wszystkiemi światłami zapalonemi, który wyglądał, jak wielki robaczek świętojański. Na pokładzie grała muzyka. Zerwałem się, zacząłem krzyczeć i nawoływać. Na drugi dzień rozbiłem jedno z jaj Aepyornisa, skosztowałem je i przekonałem się, ku wielkiej mojej radości, że było smaczne. Znalazłem w niem coś w rodzaju okrągłej tarczy, mającej sześć cali w obwodzie, z zaznaczającemi się w niej krwawemi pasemkami, których znaczenia nie umiałem sobie wytłumaczyć, ale które wydały mi się bardzo dziwne. Jajo wystarczyło mi na trzy dni wraz z sucharami i wodą... Żułem także ziarnka kawy, co mnie bardzo wzmacniało. Drugie jajo otworzyłem ósmego dnia i zdumiałem się.

Człowiek z blizną przerwał. — Tak jest— rzekł — było na wylęgnięciu.

Trudno w to uwierzyć. I ja sam nie mogłem dać temu wiary. Jajo leżało w zimnym, czarnym mule z jakie trzysta lat. Ale to nie ulegało żadnej wątpliwości. Był w niem — jakże się to nazywa? — zarodek z wielką głową i wygiętym grzbietem, z sercem bijącem pod gardłem i wielkiemi błonami, przebiegającemi wewnątrz skorupy i dokoła żółtka. Byłem zatem w posiadaniu jaj największego ze wszystkich nie istniejących już ptaków i miałem je w małej łódce pośród oceanu Indyjskiego. Gdyby Dawson o tem wiedział! To było więcej warte, niż czteroletnia pensja. Co pan o tem sądzi?

— Musiałem jednak zjeść to kosztowne jajo, chociaż tym razem nie było ono zmaczne. Trzecie zostawiłem. Przyglądałem mu się nieraz pod światło, ale skorupa była zbyt gruba, aby mi pozwolić zobaczyć co się wewnątrz dzieje; i chociaż zdawało mi się, że słyszę pulsowanie krwi, mogło mi szumieć w uszach, jak po przytknięciu muszli do ucha.

— A potem ukazał się atol. Ukazał się o wschodzie słońca, niespodzianie w niewielkiej odległości. Płynąłem wprost ku niemu i dopiero kiedy znalazłem się o pół mili od brzegu, prąd zmienił kierunek i musiałem wiosłować co sił starczyło, rękami i szczątkami skorupy jaja Aepyornisa, aby dotrzeć do celu. Ale udało mi się. Był to atol jakich wiele; miał około cztery mile obwodu, kilka drzew, źródło i lagunę, pełną ryb. Wyniosłem jajo na brzeg i umieściłem je w miejscu bezpiecznem, wysoko ponad linją przypływu i w słońcu Wyciągnąłem na brzeg łódkę i zabrałem się do oglądnięcia wyspy. Rzecz dziwna, jak mało interesującym jest taki atol. Skoro tylko znalazłem źródło, wszystko inne przestało mnie obchodzić. Kiedy byłem małym chłopcem, sądziłem, że nic nie może być piękniejszego, nad życie Robinsona Cruzoe, ale miejsce to było nudne, jak kazanie. Chodziłem po wyspie, szukając coś do zjedzenia i rozmyślając, ale powiadam panu, nie minął dzień, a miałem ją wyżej uszu. Tego samego dnia, kiedy wylądowałem, pogoda zmieniła się. Nad wyspą przeszła burza z piorunami, a w nocy zerwał się straszny wicher. Miałem szczęście, gdyż łódka na morzu wywróciłaby się z całą pewnością.

Spałem pod łódką, a jajo spoczywało bezpiecznie wśród piasku, daleko od brzegu. Zbudził mnie chrzęst kamyków, uderzających o łódkę i strumienie wody. Noc była czarna i widziałem tylko fosforyzujące bałwany, które rzucały się na mnie, jakby mnie chciały pożreć. Morze huczało. Chmury wisiały nieledwie nad moją głową, a deszcz lał jak z cebra. Uciekłem przed jakimś większym bałwanem, a potem przyszła mi na myśl łódka. Pobiegłem tam, gdzie powinna się była znajdować, kiedy woda z szumem cofnęła się, ale łódź zniknęła. Pomyślałem o jaju i odszukałem je po omacku. Było na swojem miejscu, zdala od najgroźniejszych fal, usiadłem zatem i przytuliłem się do niego. Mój Boże! Była to straszna noc.

Deszcz przestał lać przed świtem. Z brzaskiem dnia nie było już na niebie żadnej chmurki. Na wybrzeżu widniały szczątki poszarpanego na rafach drzewa — był to, że się tak wyrażę, rozczłonkowany szkielet mojej łodzi. Znalazłem, na szczęście, dwie czy trzy deski, które zużytkowałem do budowy szałasu. I dnia tego wylęgło się pisklę.

Wylęgło się, kiedy spałem z głową opartą na jaju. Usłyszałem stukanie i uczułem drgnięcie. W chwili, kiedy usiadłem, skorupa pękła i spojrzała na mnie mała, brunatna głowa. — Witaj towarzyszu! — rzekłem. I pisklę z pewną trudnością wyszło z jaja.

Było to z początku rozkoszne maleństwo, wielkości małej kury — przypominające pod każdym względem inne pisklęta, tylko, że większe. Upierzenie jego było zrazu szarobrunatne, a raczej był to szary puch, który prędko pokryty został przez pióra. Trudno pojąć, jak wielką przyjemność sprawiał mi widok pisklęcia. Wistocie, było interesującym towarzyszem. Przyglądało się mi, mrugało oczyma, jak kura, dziobało od pierwszej chwili, jakby nic sobie z tego nie robiło, że wylęgło się o trzysta lat za późno. — Jak się masz, Piętaszku! — rzekłem, gdyż postanowiłem, naturalnie, nazwać je Piętaszkiem, jeśli nie wylęgnie, zaraz jak tylko przekonałem się, że jajo w łodzi zawierało zarodek. Byłem trochę niespokojny, czem je będę żywił, dlatego dałem mu odrazu trochę ryby. Zjadł ją i otworzył dziób po więcej. Ucieszyło mnie to, gdyż w danych okolicznościach musiałbym je w końcu zjeść, gdyby było kapryśne.

Nie ma pan pojęcia, jak interesującym ptakiem był ten młody Aepyornis. Chodził za mną od samego początku. Miał zwyczaj stać przy mnie i przyglądać się, jak łowię ryby w lagunie, czekając na swoją cząstkę. Był też bardzo wielkim smakoszem i nie jadł byle czego.

I rósł. Rósł w oczach. Nie byłem nigdy człowiekiem towarzyskim, ale jego spokój i przyjazne odnoszenie się do mnie wzbudziło we mnie przywiązanie. Przez dwa lata niespełna byliśmy tak szczęśliwi, jak to było w danych warunkach możliwe. Nie miałem trosk, gdyż wiedziałem, że pensja moja u Dawsonów rośnie. Czasami widzieliśmy żagiel, ale nigdy żaden okręt nie przybił do brzegu. Zabawiałem się ozdabianiem wyspy rysunkami z muszli i morskich jeżowców. Wypisywałem wszędzie dużemi literami: WYSPA AEPYORNISA na podobieństwo napisów na stacjach kolei żelaznych. Bawiłem się w matematyczne obliczenia i rysowałem na piasku najrozmaitsze rzeczy. Pozatem leżałem, przyglądając się ukochanemu ptakowi, który rósł, rósł ciągle; i rozmyślałem, w jaki sposób najlepiej będzie ciągnąć dochody z jego pokazywania, kiedy w końcu zabiorą nas z wyspy. Miał teraz wygląd iście majestatyczny, z czubem, niebieskiemi skrzydłami i wspaniałym, zielonym ogonem. Zastanawiałem się także, czy Dawsonowie mają do niego jakieś prawo. W czasie deszczu i niepogody leżeliśmy obok siebie, w szałasie, zrobionym przezemnie z desek starej łodzi, a ja zabawiałem go opowiadaniem kłamstw o moich przyjaciołach w domu. A po deszczu spacerowaliśmy po wyspie, wypatrując, czy morze nie wyrzuciło czegoś na brzeg. Powiadam panu, była to idylla. Gdybym miał tylko trochę tytoniu, wydawałoby mi się, że jestem w raju.

Z końcem drugiego roku szczęście nasze zaczęło się psuć. Piętaszek miał wówczas prawie czternaście stóp wysokości, wielką, szeroką głowę, zakończoną dziobem, podobnym do oskarda i dwoje dużych, brunatnych oczu, z żółtemi obwódkami, osadzonemi obok siebie, jak u człowieka — nie z boku po obu stronach głowy, jak u kury. Pióra miał ładne — niepodobne do strusich — z barwy i wyglądu przypominające pióra kazuara. I wówczas zaczął zdradzać złośliwe usposobienie..

Wkońcu przyszedł czas, kiedy ryb łapało się mało, a zachowanie się jego zaczęło być coraz dziwniejsze. Sądziłem, że morskie ślimaki lub coś w tym rodzaju będą dla niego odpowiedniem pożywieniem, ale nie miał na nie ochoty. Byłem głodny również i kiedy wkońcu złapałem rybę, chciałem ją zabrać dla siebie. Byliśmy tego dnia obaj w złem usposobieniu. Chwycił ją w dziób, a ja uderzyłem go w głowę, chcąc, aby ją puścił. I w tej chwili rzucił się na mnie. Mój Boże!...

— Oto znak po jego dziobie — Opowiadający wskazał na bliznę. — Potem ptak powtórzył cios. Był wielki, jak koń. Widząc, że nie ma zamiaru przestać uderzać, uciekłem, zakrywając twarz rękoma. Ale on biegł za mną na swoich cienkich nogach prędzej, jak koń wyścigowy, bijąc mnie dziobem w tył głowy i nie szczędząc uderzeń po całem ciele. Uciekłem do laguny i weszedłem do wody po szyję. Zatrzymał się na brzegu, gdyż nie lubiał maczać nóg i zaczął drzeć się, jak paw, tylko głośniej Wkońcu zawrócił nad morze. Przyznaję, że objęcie w posiadanie wyspy przez tego przedpotopowego ptaka zbiło mnie z tropu. Twarz moja i głowa ociekała krwią, a całe ciało pokryte było sińcami.

Postanowiłem przepłynąć przez lagunę i zostawić go na pewien czas samego, dopóki nie zapomni o naszem nieporozumieniu. Wspiąłem sę na najwyższą palmę i siedziałem tam, rozmyślając. Byłem dotknięty do żywego brutalną niewdzięcznością tego stworzenia. Opiekowałem się niem, jak brat. Pomogłem mu wyjść z jaja, wychowałem go. Wielki, kościsty, przedhistoryczny ptak! A ja byłem przecież człowiekiem, dziedzicem wieków przeszłych!

Po pewnym czasie, kiedy zdawało mi się, że oprzytomniał i wstydzi się swego postępowania, postanowiłem podejść do niego z kawałkiem ryby w ręku, ofiarować mu ją i przywrócić normalne stosunki. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem jednak, jak upartym i nieznającym przebaczenia może być ptak przedhistoryczny. Wcielenie złośliwości!

Nie chcę opowiadać o wszystkich podstępach, których użyłem, aby go przebłagać. Poprostu, nie mogę. Rumieniec wstydu pali mi twarz, kiedy przypomnę sobie te upokorzenia i krzywdy, jakich mi nie szczędziła ta djabelska osobliwość. Próbowałem gwałtu. Rzucałem na niego kawałkami korali z bezpiecznej odległości, ale połykał je. Cisnąłem w niego nawet otwartym nożem i o mało go nie postradałem, chociaż był

Dokończenie na str. 30.

DZIEŁO które zrodziła MIŁOŚĆ OJCZYZNY

CHARLIE



„Dzieło, na które patrzymy, nie powstało z nienawiści. Zrodziła je miłość głęboka Ojczyzny, nie tylko w jej minionej wielkości i dzisiejszej niemocy, lecz i w jej jasnej, silniejszej przyszłości. Zrodziła je miłość i wdzięczność dla tych przodków naszych, co nie po łup, nie po zdobycz szli na pole walki, ale w obronie dobrej, słusznej sprawy zwycięskiego dobyli oręża.

Twórca pomnika i wszyscy, co mu przy pracy byli pomocni, składają hołd ten dziękczynny świętej praojców pamięci; składają go na ołtarzu Ojczyzny jako votum pobożne, błagając te wysokie, świetlane duchy, od wieków już z Bogiem złączone, by wszystkie dzieci tej ziemi natchnęły miłością i zgodą, by rozszerzyły serca nasze, by wyprosiły dla nas i wiary moc i nadziei pogodę, rozwagę, cierpliwość i tę dobrą wolę, bez której niema ani cnót cichych, ani sławnych czynów.

Niech więc Naród w osobie najwyższego wszystkich ziem polskich dostojnika tę ofiarę serc naszych miłościwie przyjąć raczy.

Pragniemy gorąco, by każdy Polak i Litwin każdy, z dawnych dzielnic Ojczyzny, czy z za oceanu, spoglądali na ten pomnik jako na znak wspólnej przeszłości, świadectwo wspólnej chwały, zapowiedź lepszych czasów, jako na cząstkę własnej, wiarą silnej duszy...

Prastarej, ukochanej stolicy naszej oddajemy to dzieło we władanie wieczyste. Do prześwietnej rady stołecznego grodu, do jej dzielnego, zasłużonego prezydenta dr. Juljusza Leo gorącą i usilną zanosimy prośbę, by nad tym pomnikiem zechcieli życzliwą i troskliwą rozciągnąć opiekę".

W te podniosłe słowa przemówił w Krakowie przed dwudziestu pięciu laty Ignacy Paderewski, oddając miastu naszemu jako fundator pomnik zwycięzcy spod Grunwaldu.

Cisza zaległa obszerny plac Matejki, na którym w dniu 15 lipca 1910 roku zgromadziły się wielotysięczne rzesze, reprezentantów wszystkich stanów i zawodów, różnych związków i organizacyj społecznych, przybyłych do Krakowa z najodleglejszych granic ziem dawnej Rzeczypospolitej, a nawet z za oceanu. Wszystkich oczy zwrócone były w kierunku trybuny mówców, na której stał wielki artysta.

I w tej uroczystej chwili nie znalazł się chyba nikt taki, ktoby był nie zrozumiał głębokich intencyj przemówienia Paderewskiego. Krótkie, jakżesz jednak treściwe, a przedewszystkiem

Na prawo: Portret I. J. Paderewskiego z młodych lat mistrza.

Poniżej: Odsłonięcie pomnika Władysława Jagiełły 15 lipca 1910 r. w Krakowie.

Ze zbiorów Archiwum Aktów Dawnych m. Krakowa.



natchnione bezgranicznem przywiązaniem do wszystkiego, co polskie, ujęło ono za serca nas młodych, co w mundurkach gimnazjalnych staliśmy opodal trybuny, wsłuchani w melodyjny głos mistrza. Po ostatniem słowie zerwała się burza niemilknących oklasków, a on jak zawsze skromny skłaniał w stronę tłumów swą głowę, okoloną aureolą jasnych włosów i w milczeniu dziękował za ten spontaniczny hołd, który napewno droższym był jego sercu od niejednego sukcesu artystycznego, a który w dniu tym składała mu dosłownie cała Polska.

I przez dwa dni następne, na które rozciągnęły się uroczystości, związane z obchodem rocznicy grunwaldzkiej, Paderewski nie przestał być ani na chwilę ośrodkiem zainteresowania wszystkich. Przyjęcie, jakie zgotowała mu rada miasta na uroczystem posiedzeniu, raut w salach Starego Teatru, potem olbrzymi zlot sokolstwa na Błoniach i pamiętny pochód wszystkich reprezentantów na Wawel, wreszcie każde pojawienie się mistrza na ulicach miasta — to etapy jego ówczesnej drogi triumfalnej, na której ścieliły się nie tylko kwiaty, ale i serca, składane w darze Paderewskiemu — wielkiemu patrjocie.



Mistrz Paderewski przy fortepianie.

* * *

W trzy lata potem zaelektryzowała Kraków wiadomość o wielkim koncercie mistrza.

Na długo przed owym pamiętnym dniem bilety wstępu były już wszystkie wykupione, a sam wieczór zgromadził w Starym Teatrze elitę społeczeństwa dawnego zaboru austrjackiego. Siedząc z matką w pierwszym rzędzie krzeseł, rozglądałem się ciekawie po sali, która niecodzienny widok przedstawiała. Tuż obok nas zajął miejsca Henryk Sienkiewicz z małżonką, któremu zostałem przez matkę przedstawiony; na dalszych ujrzałem przedstawicieli najwyższych władz z delegatem namiestnika Galicji na czele, a potem członków wszystkich niemal polskich rodzin arystokratycznych, wśród których panie zwracały na siebie uwagę rasową urodą, wspaniałemi toaletami i drogocenną biżuterją. W sali, dosłownie „po brzegi wypełnionej", gdyż nawet po obu stronach estrady ustawiono krzesła, panowała atmosfera podniecenia i wyczekiwania.



W kole: Paderewski jako gość prezydenta republiki francuskiej Poincarégo w r. 1919.



Niesmaczna karykatura, która pojawiła się w niemieckim tygodniku „Kladderadatsch" w r. 1933 p. t.: „Paderewski auf alter Fährte" — i podpisem: „Er lügt, dass sich der Flügel biegt"! (Paderewski na dawnym szlaku. — On tak kłamie, że aż fortepian się załamuje). Patrz objaśnienie wewnątrz artykułu.

Wreszcie w drzwiach pokoju artystów ukazała się postać Paderewskiego.

Gdy stanął na estradzie, wszyscy podnieśli się z miejsc, witając mistrza jak udzielnego monarchę. Czy było w tym odruchu coś dziwnego? — dla mnie, młodego napewno tak. Ale już niedługo potem, gdy spod palców Paderewskiego wypłynęła melodja, tak dobrze mi znana, a jednak jakże inna, tak czarowna, że wzruszyćby potrafiła nawet serce wykute z kamienia — zrozumiałem potęgę sztuki wielkiego artysty i w niemym zachwycie stałem potem wraz ze wszystkimi słuchaczami, którzy już po pierwszej części koncertu zgotowali mistrzowi spontaniczną owację.

W czasie pauzy matka moja, dotrzymując danego mi poprzednio przyrzeczenia, poszła ze mną do pokoju artystów i tam po raz drugi w życiu stanąłem przed wielkim pianistą. Trudno mi dziś określić, jakie uczucia przepełniały wówczas moje serce, jakie myśli cisnęły mi się do głowy; wiem tylko to jedno napewno, że czułem się bardzo szczęśliwy i dumny z zaszczytu, jaki mnie spotkał i który stał się też potem nielada sensacją dla mych kolegów z konserwatorjum muzycznego.

(Dokończenie na str. 38-ej).





Dwa fragmenty pochodu grunwaldzkiego w Krakowie: Szlachta i mieszczaństwo (na lewo) — Banderje Krakusów (na prawo).

Ze zbiorów Archiwum Aktów Dawnych m. Krakowa.

ABISYŃSKIE ŁOWY

Bezspornie najaktualniejszym tematem, tak łamów prasowych, jak i rozmów kawiarnianych, poza bolączkami dnia codziennego, jest dziś ten kraj wyżynowy, zamknięty w granice otaczających go gór i zacieśniającego się pierścienia interesów wielkich mocarstw europejskich.

Komunikaty prasowe prześcigują się w sensacyjności biuletynów wojennych, magazyny podają fotografje piękności Abisynek z Hararu, ale mało komu jest wiadomem, iż imperjum króla królów Haile Selasie jest eldoradem łowieckiem, rajem dla myśliwego. W zapomnienie już poszła u młodszych pokoleń polskich Nemrodów wspaniała albumowa księga, wydana przez Józefa hr. Potockiego, która w formie notatek łowieckich pisana, zamknęła w sobie historję tej pierwszej polskiej łowiecko-naukowej ekpedycji do Abisynji. W towarzystwie wybitnego naukowca zoologa dr. Sztolcmana udaje się Józef Potocki przez italski kraj Somali do Abisynji, spędza tam długie miesiące, w rezultacie swej ekskursji wzbogacając krajowe zbiory cennemi eksponatami mało lub wcale nieznanej fauny Czarnego Lądu. Wyczarowane talentem Stachiewicza, poraz pierwszy wtedy pobudzają fantazję polskiego czytelnika, fantastyczne i rycerskie, pierwotne postacie wojowników Negusa, a przyznać należy, że i poraz pierwszy w Polsce wtedy zdradzać zaczęło większe zainteresowanie tym dziwnym krajem. Nadewszystko jednak kraj ten, będący dziś „gwoździem" sezonu na uwagę zasługuje jako królestwo zwierząt, których tak forma różnorodna, bogactwo gatunków, jak i liczebność z żadnym z innych krajów w paragon iść nie może, bogactwem fauny dającemi się jedynie porównać do stepów rezerwatowych Brytyjskiej Wschodniej Afryki.

Fauna etjopska w zoogeograficznym swym pasie zajmując cały obszar Afryki, tu właśnie w Abisynji nagromadziła sztandarowych reprezentantów licznych swych rodów. Tam gdzie dziś warkotają motorami uzbrojone tanki, gdzie echem skalnem targa nerwowe staccato karabinów maszynowych, w kraju Tigre, trudno by się jeszcze doszukać klasycznych dla Abisynji terenów łownych. Dolina rzeki Wadi, poza licznemi stadami pawianów grzywiastych (Hamandrya) oraz drobiazgu antylopiego, występuje jedynie li tylko ze zczupłą reprezentacją wielkich matadorów zwierzęcych, w której lew prym trzyma. U brzegów słonych jezior, w bujnych szuwarach, traw kolczastych spotyka się zwinne i drobne stadka antylopy skoczka, pigmeja w rodzinie antylop, wielkością nieprzewyższającej zwykłego fox-terriera, uzbrojonej w maleńkie różki o wielkich zajęczych uszach. Na błękicie nieba czarną kreską rysują się płowe sępy afrykańskie, czyhające na łup, o który obecnie stara się il Duce, a w niskich krzewach akacji i mimozy wołają dzikie perlice a nocami cykady.

Wielkich łowisk abisyńskich z klasycznemi reprezentantami fauny etjopskiej szukać należy w tych terenach, których nie objęły jeszcze czerwonym zakresem ołówka generalskiego italskie mapy sztabowe.

Całe pogranicze Abisynji, dotykające sobą brzegów wielkiego jeziora Rudolfa. Brytyjskiej wschodniej Afryki i wielkiego wodozbioru tych stron, jak i pobrzeża jeziora Tana z wąską wstęgą Błękitnego Nilu, stanowią dopiero klasyczne łowiska tej ziemi. Szaro-oliwkowy step, ziejący śmiertelnym tchnieniem żarów południa z gęstemi kępami akacji parasolowej, w rysunku ogólnym przypominający równiny mazowieckie lub nowogródczyznę, na których „zrzadka dzikie grusze siedzą", to wielkie królestwo zwierząt łownych ziemi króla królów. W wyżej położonych miejsco-



Typowy krajobraz abisyński z egzotycznemi drzewami.

wościach żyje tu nosorożec dwurożny, zapowiadający się myśliwemu głośnym nosowym sapnięciem „pfiff!", zawadjacko płochliwy olbrzym, a w nizinnych okolicach bogatszych w wodę, porosłych papirusem, do wieczornego wodopoju gromadzą się stada antylop. Oryx'y, fantastycznie łaciate z rogami prostemi jak iglice, a karbowanemi spiralą, bawoły o łbach ciężkich zawsze niebezpieczne i same atakujące myśliwego, Hartbeasty (nazwane tak przez Burów dla wielkiej odporności od kuli), Impole, gazele Granta, kozły wodne i gnu, najdziwniejsze z antylop o łbie bawolim, torsie konia, a nogach jelenia. Reprezentacja gatunków antylop w tym kraju występuje bogatą cyfrą przeszło stu gatunków najróżnorodniejszych.

Nocami grzmi po stepie potężny głos lwa (małogrzywiastego), który jest tu tak po-





Powyżej: Antylopa hartbeast Jackson'a. — Na prawo: Ual-Ual, miejscowość, która spowodowała konflikt abisyńsko-włoski, posiada charakterystyczne dla Abisynji lepianki.



Od lewej: Maleńka gazella-skoczek. — Nosorożec dwurożny, z którym nieraz można się spotkać w Abisynji.





Na lewo: Piękna głowa Oryxa (1) i masywny łeb bawołu abisyńskiego (2).

wszechnym, jak wilk na Wileńszczyźnie, a zaczajoną na ciągnące stada antylop czyha pantera. Baseny wodne (poza pstrągami, które licznie zamieszkują górskie strumienie, pełne są hipopotamów (Nil) i krokodyli, nie mówiąc już o ptasich kwiatach nadbrzeżnych, różowych Ibisach. Stada ich przekraczają cyfrę nieraz tysiąca. Niedostępną dekoracją abisyńskiego zachodniego stepu jest żyrafa.

Historja abisyńskiej żyrafy, dziwnie splątała się z polską zoologją. — Jeden bowiem z pierwszych okazów tego przedziwnego zwierzęcia, które Lineusz z opowiadań słyszanych nazwał wielbłądo-panterą (Camelopardalis), zawitał w Europie właśnie do Polski i z pod pióra polskiego uczonego doczekał się naukowej monografji.

W roku 1826, dnia 30 czerwca, poraz pierwszy sprowadzono do Europy (do Paryża żywą żyrafę ku wielkiemu gaudium tłumu ulicznego, z Abisynji (z północnych brzegów jeziora Rudolfa), a w roku 1856 zawitała ponownie żywa żyrafa abisyńska na stary ląd, do Warszawy, sprowadzona przez właściciela menażerji Krützberga. Po śmierci zwierzęcia zakupiona przez gabinet zoologiczny w stolicy za 2.400 zł. (ówczesnych) doczekała się spreparowania i monografji pióra wybitnego naszego zoologa W. Taczanowskiego.

W harmonji tak rzadko spotykanej wśród ludzi, na ogromnych przestrzeniach abisyńskich stepów, pasą się liczne stada pięknych zwierząt łownych tej ziemi. Tuż obok płowoskórych antylop galopują pasiaste zebry, wolno poruszają się masywne, ciemne cielska bawołów, obsiadłe na grzbietach białemi pliszkami (które im wyjadają ze skóry pasożyty), opodal wielkiemi krokami spaceruje żyrafa.

Przepyszne bogactwo form Stworzenia tworzy jak w raju legendarnym raj dla myśliwego.

I z trwogą przychodzi myśl, że baśń ta o pięknie tej ziemi trwać może już niedługo.

Proporczyki znaczące na mapach ruchy walczących armij, brną coraz to głębiej w kraj baśni łowieckiej.

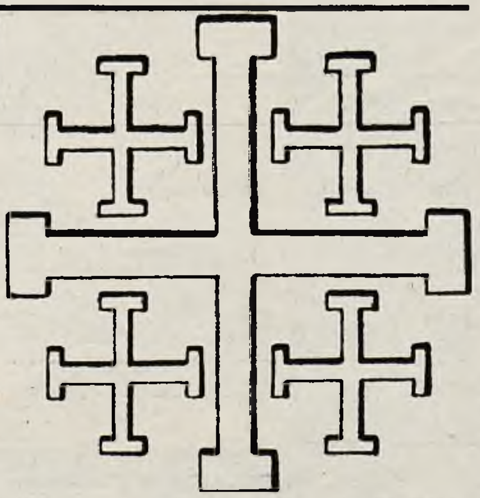
Przy akompanjamencie gry armat, które płoszą pasące się stada i wyludniają to Eldorado, ginie poezja stepu. **Feliks Dangel.**

IN HOC SIGNO VINCES

Śledząc politykę państw współczesnych i słuchając ciągle pywtarzających się pustych frazesów o ideałach ludzkości, mimowoli nastręcza się pytanie, czy zawsze w dziejach świata panowała podobna jak dziś obłuda, i czy zawsze każde piękne i szczytne hasło było tylko politycznym czy ekonomicznym wabikiem? Odpowiedź konkretną znajdziemy na kartach historji średniowiecznej, mówiących o wojnach krzyżowych.

Były czasy, kiedy ludy zbroiły się w imię ideału religijnego, kiedy hufce rycerzy dążyły nie po łup, a celem zdobycia walących się nieraz murów, pustynnych krain, tylko dlatego, że pamiętały one postać Zbawiciela. Rycerstwo pod znakami chorągiewnemi spieszyło tłumnie do Ziemi Świętej, czyniąc z wojny jakąś wielką, mistyczną pielgrzymkę. Mimo tylokrotnych wysiłków Ziemia Święta nie utrzymała się w rękach narodów europejskich. Obecnie jest jedynie jednym z atutów Wielkiej Brytanji, atutem pozbawionym wszelkich cech idealnych. Po wyprawach krzyżowych jednak pozostały zakony rycerskie, pielęgnujące do dziś piękne tradycje.

Ideologja zdobycia Ziemi Świętej tak potężną była w średniowieczu a zakony rycerskie miały do spełnienia tak wielką kulturalną rolę, że dzieje tych czasów byłyby niekompletne, gdybyśmy nie uwzględnili roli zakonów. Było ich sporo. Zakon św. Jana Jerozolimskiego, zwany też Rodyjskim lub Maltańskim, zależnie od każdorazowej jego siedziby, Zakon św. Grobu, Zakon Najświętszej Panny Marji, zwany też Niemieckim lub Krzyżowym, Zakon Korony Cierniowej, Zakon Templarjuszów (nieistniejący), Zakon Konstantyński (zwany też Anielskim), Zakon Mercedarjuszy itd. One wszystkie bezpośrednio lub pośrednio walczyły w obronie Jerozolimy, pamiątek po Zbawicielu, one wszystkie bez wyjątku spełniały szczytną misję samarytańską, charytatywną i stawały się nieraz jedynemi ośrodkami działalności, którąbyśmy dziś nazwali „opieką społeczną".



Godło zakonu Świętego Grobu, przedstawiające pięć czerwonych krzyży.

Przecież jedną z nazw Zakonu Maltańskiego była nazwa „Szpitalnicy", gdyż spełniał on zaszczytną misję leczenia i ratowania chorych pielgrzymów. Oczywiście nie wszystkie zakony powstały w Ziemi Świętej: niektóre z nich stworzone zostały poza nią, a każdy nieomal kraj posiadał na ich wzór powstałe. I tak w Hiszpanji zawiązały się zakony rycerskie św. Jakóba od Miecza, Zakon Alcantara, Calatrava, Ś Marji z Evora (Avis), Montesa itd., w Polsce znów powstał Zakon Dobrzyński, który walczył z pogańskimi Litwinami, w krajach bałtyckich w r. 1200 został założony Zakon Liwoński czyli Mieczowy, na Cyprze Zakon Milczenia lub Miecza (1195) itd.

Na czoło tych wszystkich zakonów rycerskich, które odegrały nieraz wielką rolę historyczną, wybija się Zakon św. Jana Jerozolimskiego czyli Maltański. Pierwotnie oddany pracy szpitalniczej, wkrótce począł grać rolę jako przedmurze chrześcijaństwa a zwłaszcza od osiedlenia się na Cyprze, później na Rodos a wkońcu na Malcie miecze kawalerów i wielka ich flota nieraz odniosły zwycięstwo nad niewiernymi, jak np. pod Lepanto. Jaką siłą rozporządzał zakon najlepiej wyjaśni fakt, że w r. 1565 Zakon zgromadził pod chorągwią swą w walce z Turkami, 9000 wojowników, z których 600 było kawalerów Zakonu, większość Włochów. Wyspa zakwitła pod rządami Zakonu: powstał tam od 1771 r. uniwersytet, wzniesiono wspaniałe budowle, poza silnemi fortyfikacjami, Wielki Mistrz Zakonu cieszył się znaczeniem równem monarchom, które zresztą z punktu widzenia prawa międzynarodowego zachował po dziś dzień. I dzisiaj w czterech stolicach Europy (Città del Vaticano, Wiedeń, Budapeszt, Bukareszt), rezyduje poseł nadzwyczajny Zakonu, równy innym posłom zagranicznym. Z chwilą zdobycia Malty przez Anglików, pod koniec XVIII wieku. Zakon stracił znaczenie wojskowe i wykonuje odtąd jedynie swe posłannictwo szpitalnicze. Istnieje obecnie 30 placówek szpitalniczych i dobroczynnych wszelkiego rodzaju, utrzymywanych przez Zakon, który również na wypadek wojny stawia do dyspozycji armij walczących pociągi sanitarne. Odegrały one w wojnie światowej bardzo dużą i zaszczytną rolę. Obecny Wielki Mistrz książę Ludwik Chigi-Albani della Rovere jest 76 zrzędu panującym.

Drugie co do znaczenia i starości miejsce wśród zakonów rycerskich trzeba przyznać Zakonowi św. Grobu, który założ. 1099, również spełnia rolę humanitarną zarówno w Europie, jak i w Afryce i Azji. Jeżeli chodzi o odgałęzienie jego polskie, zwane pospolicie „miechowskiem", od swej siedziby w Miechowie, to Bożogrobcy (będący duchownemi) posiadają w Polsce piękne, dawne tradycje. Do rycerzy św. Grobu zaliczali się Alexander Sołtan, pielgrzym do Jerozolimy (1469), Jan Łaski, „miles hierosolimitanus", Krzysztof Szydłowiecki, 1492, Jakób z Wyganowa i t. d. Jan Tarnowski, późniejszy hetman w. kor. kaszt. krakowski, 1517, Marcin Broniewski. Stanisław Łaski, trzech Tęczyńskich, Janusz Latalski, późniejszy wojewoda poznański, Prokop z Krużlowej Odrowąż Pieniążek i wielu innych. W owych czasach mianowanie kawalerami przysługiwało gwardjanom klasztoru Ziemi Św. z zakonu św. Franciszka. Ostatnio wskrzeszono prowincję polską Zakonu pod opieką prymasa Polski, Augusta kard. Hlonda. Po wielu zmianach w organizacji, wkońcu Ojciec św Pius IX. ustalił ramy zakonu a dzieła tego dokończył Papież Pius X., jak również Pius XI. Miechów, piękne starożytne miasteczko, posiada po dziśdzień liczne pamiątki z czasów polskich duchownego Zakonu św. Grobu. Pełniącym funkcje Wielkiego Mistrza i Rektorem Zakonu jest Mgr. Barlassima, patrjarcha Jerozolimski.



Kościół religijnego zakonu Bożogrobców w Miechowie pamięta dawne wieki.



Wielki Mistrz Suwerennego Rycerskiego Zakonu św. Jana Jerozolimskiego, Ludwik ks. Chigi-Albani della Rovere, należy do jednej z najstarszych rodzin włoskich.



Podwórze zamku zakonu Templarjuszy na wyspie Rodos. Fot. St. de Rosset

Najbardziej bodaj u nas znany jest zakon Krzyżowy, który po wyjściu z Palestyny osiedlił się, jak wiadomo w Prusach celem nawracania pogan. Smutne były doświadczenia, jakie poczyniła Polska z tym sąsiadem i bynajmniej nie chrześcijańską była jego działalność. Po sekularyzacji państwa zakonnego w XVI. wieku, przeniósł się on do Wiednia a ostatni mistrzowie jego pochodzili z cesarskiego domu austrjackiego. Ostatnim W. Mistrzem z domu Habsburgów był arc. Eugenjusz, a obecnie jest nim biskup Klein. Obejmuje Zakon Krzyżowy wyłącznie Niemców.

Nie można pominąć również zakonu rycerskiego i szpitalniczego św. Łazarza Jerozolimskiego. Jak wskazuje jego nazwa, pracę swą poświęcał on najbardziej upośledzonym jednostkom ludzkości — trędowatym i chorym wogóle. Przytułek ich dla pielgrzymów i trędowatych znajdował się poza murami miasta Jerozolimy, w pobliżu furty św. Łazarza. Posiadali oni liczne szpitale rozsiane po tych ziemiach, które rycerze europejscy zdobyli na Turkach. Obecnym Wielkim Mistrzem Zakonu jest ks. Don Franciszek de Bourbon, ks. Sewilli. Piękne wspomnienie pozostawił bohaterski Polak, ks. Tański, uczestnik powstania 1863, który jako jałmużnik Zakonu zdołał przyczynić się do jego wzrostu.

Dużo dałoby się jeszcze dodać o działalności rycerskiej i szpitalniczej tych licznych zakonów, zbyt bogata jest jednak ich historja, aby je objąć drobnym szkicem. Należy jednak podnieść, że właśnie w ostatnich czasach dzięki inicjatywie obecnego Papieża, zakony te, nieraz pogrążone w letargu, weszły w życie społeczeństwa w imię swego posłannictwa, prowadząc dobroczynną, charytatywną działalność i zgodnie z swą misja wracają tam skąd wyszły: do hospicjum Stąd też obok szumnego i wojowniczego określenia „rycerski" również słusznie figuruje drugie, skromne, pokorne: „szpitalniczy".

Jan Maleszewski.



Współczesne Betlejem przypomina przeciętne miasto afrykańskie Widok z wieży kościoła stojącego na miejscu urodzenia Zbawiciela.



Oto wejście do groty, w której urodził się Chrystus, a znajdującej się w betlejemskim kościele pamiątkowym.

O CZEM MARZĄ DZIEWCZĘTA?

Przed kilku laty poznałem raz piękną dziewczynę. Na imię jej było Irena... Małe paluszki mej nowej znajomej wystukiwały codzień na maszynie setki listów, które dyktował szef, obojętny na wdzięki swej stenotypistki. Chyba tylko dlatego pensja Irki nie mogła w żaden sposób przekroczyć „astronomicznej" cyfry 120 złotych, mimo, że pracowała w wielkiej instytucji bankowej już od kilku lat i to na całkiem odpowiedzialnem stanowisku.

Humor miała ta dziewczyna wprost niesamowity. Poprostu wierzyć mi się nie chciało, że żyjąc w jej warunkach, można było jeszcze zachować tak pogodne usposobienie. — Dlatego nieraz, gdy z rozchylonemi w cudnym uśmiechu ustami, opowiadała mi jakąś zabawną historję i potem spod figlarnie przymkniętych powiek przyglądała mi się błyszczącemi oczami, zapytywałem siebie w duchu, skąd właściwie wpływa ów pogodny nastrój mej małej przyjaciółki?

I dopiero w długi czas po poznaniu dowiedziałem się całej prawdy.

— Jul, ty może tego nie zrozumiesz — odpowiedziała raz na moje pytanie. — Widzisz, ja już przyzwyczaiłam się do tego monotonnego trybu życia i... poprostu żyję fantazją. Codziennie rano przeglądam reklamy kinowe i gdy wśród nich przeczytam zapowiedź premjery dobrego filmu, wtedy dzień dłuży mi się niemiłosiernie. Nie mogę doczekać momentu, gdy światła w dużej sali zagasną i na błyszczący, srebrny ekran wpłynie pulsująca prawdziwem życiem... zjawa. Wówczas zapominam o całym świecie; o wstrętnem biurze, nudnym szefie, złośliwych koleżankach i cerowanych pończochach.

— Bo przecież przed mojemi oczami przewija się inne życie... pełne przepychu i bogactwa, szczęścia i upojnej miłości. — I wtedy zdaje mi się, że to wszystko dzieje się wokoło mnie, że biorę w życiu bohaterów filmu żywy udział... I jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Prawda, że gdy wrócę do rzeczywistości, z trudem otwieram oczy, jak człowiek, któremu po pięknym śnie kazano wrócić z raju na ziemię. Ale to nie trwa długo. Bo gdy nie ma filmu, pędzę z biura do domu, gdzie czeka na mnie książka... inny kraj marzeń, które potem w snach przeżywam setki razy...

* * *

Mała, biedna Irko! Jakżeż muszą ci zazdrościć te niezliczone rzesze dziewcząt, dla których książka, czy kino są tylko coraz większą podnietą w ich niezaspokojonych pragnieniach i ambicjach. Bo choć nieraz się zdarza, że niejedna z tej szarej armji pracujących „mrówek", dzięki własnej energji lub przez szczęśliwy los wiedziona, wypłynie na szerszą arenę życia i tam zabłyśnie niby meteor, lub nawet trwale świecąca gwiazda — to jednak olbrzymia większość pozostaje na dawnych miejscach i dla tych marzenia, zrodzone w mrocznych salach kinoteatrów, stają się przekleństwem w szarzyźnie ich życia.

* * *

I los tak widocznie chciał, że na mej drodze zaświeciła taka prawdziwa „gwiazda". Otoczona rojem wielbicieli, obsypana najpiękniejszemi klejnotami, błyszczała ta przepiękna kobieta, oprawiona w ramy najelegantszego świata. Na jej twarzy rzadko kiedy gościł uśmiech. Jakaś zaduma osiadła w jej oczach, które wpatrzone w dal, szukały czegoś napróżno... I jak przed laty małą Irkę, tak wtedy zapytałem lady X:

— Gdzie ukryło się pani szczęście?

— O, gdybym wiedziała! Mam wszystko, co tylko można kupić za pieniądze. Ale coraz częściej zaczynam odczuwać pustkę wokoło siebie. Marzę, by uciec w jakieś zacisze, jaknajdalej od tego przepychu i powodzenia życiowego. Tęsknię do prawdziwej miłości!

Ale gdzie jej szukać? Czyż nie jest ona dla niejednej taką samą himerą, jak owa sława gwiazd fimowych, klejnoty, czy bogate stroje, o których marzą dziewczęta?

J. L.



Spojrzenie w przyszłość..
Fot. Willinger, Wiedeń.



Dalekie podróże — to dla niejednej tylko marzenie...



W gorących promieniach południowego słońca...



Film pociągał zawsze piękne dziewczęta...



Niejedna marzy o karjerze pięknej Claudette Colbert...







Piękne stroje, to również niedościgniony cel wielu dziewcząt...





O tym samochodzie śniła przed laty...



Dla niejednej luksus jest celem jej życia...



„Armja", w której szeregach można najłatwiej dostać się na scenę...





Jej marzeniem była zawsze „cicha przystań" własnego domu...



W ramionach tego, o którym śniła przez wiele nocy...

u źródła wiecznych FORM

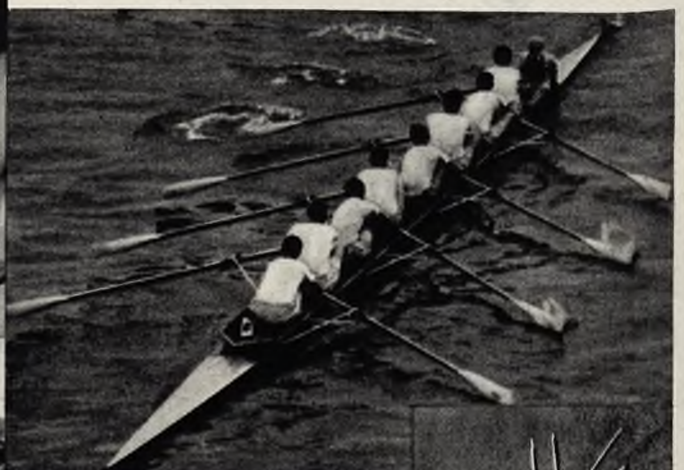
Nawet największy artysta ograniczony jest w swojej działalności do pewnych wiecznych niejako form i linij, które przejawiając się we wszelkich tworach życia najlepiej odpowiadają poczuciu piękna u ludzi. Są artyści oczywiście, którzy starają się „wymyśleć“ coś nowego, odmiennego i nadwyraz oryginalnego, pomysły ich jednak są zwykle bardziej sensacyjne jak piękne i nie zyskują ludzkich serc. Każdy z nas bowiem nosi pod względem sztuki pewne wytyczne poglądy, które nieraz nieświadomie w nas drzemią.

Gdy leci się samolotem i obserwuje krajobraz leżący pod nami, ma się wrażenie, że liczne pola podzielone zależnie od zbóż i jarzyn, rosnących na nich na liczne kolorowe czworoboki i inne geometryczne figury, są jakgdyby olbrzymim dywanem zeszytym z przeróżnych kawałków materji. Istotnie wzory materjałów przypominają w swej artystycznej logice z wysoka widziane szachownice pól. Równie odwieczną postacią linij spotykanych w świecie jest miękkość jadwabiu, przypominająca jedwabistość włosów kobiety. Gdybyśmy systematycznie śledzili te zjawiska okazałoby się, że istnieje w całości kilkanaście, może kilkadziesiąt zasadniczych form, które służą wszystkim stylom i wszystkim pomysłom artystów za kanwę do rozwinięcia obrazów bardziej skomplikowanych.





Pasma jedwabiu dziwnie przypominają złociste włosy pięknej kobiety, tak pod względem linji, jak też miękkości.



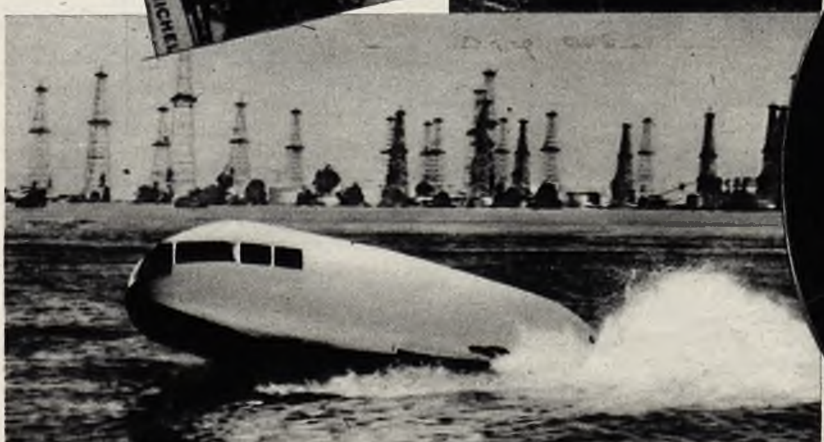


Wyścigowa ósemka nasuwa linjami znaczonemi przez wiosła myśl o liściu pewnej odmiany asparagusa.

Zdaje się jakgdyby kraciasty materjał pięknej pani modelowany był na „szachownicy“ pól oglądanej z góry.









Oto łódź motorowa biorąca udział w regatach w Long-Beach, Kalifornja, wykazująca duże pokrewieństwo form z łbem rekina.



BIAŁA WIGILJA

Juljusz Mieroszewski **Nowela** **Ilustr. Charlie**

Swemu przeznaczeniu nikt nie ujdzie. Gdy dostałem list od Jerzego, nie miałem najmniejszej ochoty skorzystać z jego zaproszenia. Było pochmurne, dżdżyste popołudnie — wróciłem właśnie z miasta zabłocony i przemoknięty. Jerzy pisał, że w gronie kilku znajomych wybrali się w Mszańskie i postanowił tegoroczną wigilję spędzić na białym, narciarskim szlaku pod namiotem, przy blasku ogniska. O północy mieliśmy przez grzbiet Śnieżnicy zjechać do Stogów, na pasterkę. Resztę nocy miał nas gościć zacny ksiądz Apolinary, proboszcz stogowski, nasz wspólny dobry znajomy. W czasie świąt projektował Jerzy kilka dalszych narciarskich wypadów.

Uśmiechnąłem się, czytając ów list. — Błoto, deszcz, pochmurno — narty na strychu! Spojrzałem na stempel pocztowy. List Jerzego wysłany był z Mszany 21-go grudnia.

Nie chciało mi się poprostu wierzyć, że kilkadziesiąt kilometrów od szarego, rozłzawionego Krakowa panuje śnieżna zima, pyszna w bezkresie lśniących białych płaszczyzn, ujętych w granatowe ramy lasów. Jestem narciarzem nie od dziś i znam się na smaku górskiego, mroźnego ozonu, nasyconego oślepiającem złotem słońca. Pieściłem wiele razy ucho metalicznym chrzęstem śniegu, kostniejącego w miałki, kryształowy puch w księżycowe, granatowe noce.

Westchnąłem i spojrzałem przez okno. Mokry asfalt jezdni błyszczał w żółtawem świetle gazowych latarni. Rynny skandowały z uporem nudny, niekończący się nokturn deszczowy.

A jednak — mimo, że nazajutrz w Krakowie nic nie zwiastowało śniegu — po powrocie z redakcji zdjąłem ze strychu narty i powoli zacząłem przygotowywać się do drogi. Po opatrzeniu nart przyszła kolej na plecak, na swetery, wiatrówki, maszynkę spirytusową, na czekanik, bez którego nie ruszam się w góry, a wkońcu z dna szafy wyciągnąłem mały, pojedyńczy namiot.

Już widziałem minę Jerzego, gdy rzuci okiem na mój bagaż, stosowniejszy dla dwugarbnego grzbietu wielbłąda, niż dla moich strzelistych i wiotkich ramion. Ale góralskie przysłowie mówi: „lepiej dźwgać niż ścigać". Zapamiętałem sobie dobrze tę maksymę, gdy przed dwoma laty błądziłem pod Turbaczem w zadymce przez całą noc, bez latarki, bez gwizdka, z zapalniczką, z której „właśnie" wywietrzała beznzyna, z zimną herbatą w manierce. Od tego czasu — wybierając się w góry nawet w liczniejszem gronie — zabieram z sobą całkowity ekwipunek, jakbym miał być sam. W górach nigdy nic nie wiadomo.

Sprawdziłem zatem mój namiot, sznury, płachty, kółka. Nabiłem reflektor świeżą baterją, przedmuchałem donośną syrenę sygnałową i najdokładniej sprawdziłem zawartość plecaka.

— All right! Mogę wyruszać choćby na biegun.

Na drugi dzień rano, gdy podniosłem storę i spojrzałem na ulicę, odeszła mnie do reszty ochota wyjeżdżać gdziekolwiek. — Deszcz mżył beznadziejnie; szare — rwące się chmury zawisły nad miastem, jak mokra, postrzępiona szmata. Dzień rozziewany, znudzony sam sobą, już w rannych godzinach konał zmęczonym zmierzchem

Rzuciłem okiem na sprzęt turystyczny, spoczywający w karnym porządku na podłodze. Jakże tu wyjść z temi lśniącemi sprzączkami, błyszczącemi od smaru nartami na taki deszcz i błoto!

Gdy wróciłem do domu, zastałem kartkę od Jerzego, który już od tygodnia bawił w Stogach. Donosił w słowach entuzjastycznych, że od wczoraj w Mszańskiem zapanowała królewska zima. Od kilku dni objęła ziemię mocnym uściskiem mrozu, a od dwudziestu godzin sypie równym śniegiem. „Bez przerwy śneży' '— pisał Jurek. „Lasy nabrały już stalowo-granatowego odcieniu, a księżycowe noce, oparte o szczyty górskie, są takie bezkresne i wyiskrzone — czyste, dalekie...".

Kapitalny blagier był z tego Jurka. Gdy poezja uderzyła mu do głowy, sprawa była więcej niż wątpliwa. Stogi prawdopodobnie tonęły w błocie, a zamiast śniegu deszcz lał jak z cebra. Owe „noce bezkresne" przypominały zapewne myśli wisielca na 5 minut przed zgonem.

Ale mimo wszystko 24-go grudnia, prawidłowo wyekwipowany wsiadłem do pociągu. Tak chciało przeznaczenie, no i ja również trochę...

W wagonie przypatrywano mi się podejrzliwie. Moi współtowarzysze podróży w milczeniu oglądali narty, plecak, zrolowany koc i namiot, zatrzymując dłuższy czas zdezorjentowany wzrok na czekanie i potężnym reflektorku. Nie zwracając uwagi na „cywilów", wydobyłem mapę i zacząłem studjować miejsce naszej dzisieszejszej wigilji. Między Słupami Małemi, a Stogami schodzi falisto grzbiet Śnieżnicy ku dolinie Mszanki; od strony Słupów, partje Śnieżnicy spadają bezlesistemi polami ku gościńcowi, natomiast po drugiej stronie, od południa, pokryte są lasem, przez który przebiega droga, łącząca Słupy Małe ze Stogami. Mniej więcej na czwartym kilometrze, już w lesie, stoi Boża Męka na niewielkim pagóreczku. W tem miejscu Jerzy wyznaczył punkt zborny.

Zapaliłem papierosa i wyjrzałem przez okno. Od Kalwarji pejzaż począł się zmieniać. Na polach leżał mokry śnieg, lecz w powietrzu czuć już było zimę. Od Chabówki niemal każdy kilometr przynosił coś nowego. Śniegu było coraz więcej, a jego konsystencja budziła już większe zaufanie. W Rabce usłyszałem dzwonki sanek góralskich.

Jerzy miał rację. W tym roku Kraków leżał po drugiej stronie równika zimy. — W naszym klimacie często trafiają się takie niespodzianki. Gdy ruszyliśmy ze stacj w Rabce, zaczął padać śnieg. Za ostatnim zakrętem przed Mszaną, w okna wagonu uderzyła zorza.

— Ładnie, ale niedobrze! — pomyślałem. Lotne, pierzaste chmurki, od spodu podbite karminem, mknęły ku północnemu wschodowi. Rwały się w wiotkie pasemka, łączyły w zbite obłoczki, błyszcząc na krawędziach metalicznie, jak skrzydła olbrzymich motyli.

— Wiatr stroi swoje miechy. W nocy zagra wszystkiemi fugami jedną ze swych górskich, niebezpiecznych warjacyj.

Gdy w Mszanie wysiadłem z wagonu, mój strój nie dziwił nikogo. Świeży śnieg leżał kilkudziesięciocentimetrową warstwą na polach, przymrozek zeszklił pejzaż skrzypiącym lukrem. Prószył gęsty śnieg, zacinając nierównemi podmuchami z północy. Zachód stał w ponsach, gasnąc szybko w coraz bardziej intenzywnym karminie.

Miałem przed sobą 8 kilometrów: dwa drogą, a resztę — jak będzie można — na deskach, w tem blisko trzy dobrego zjazdu. Dochodziło pół do czwartej, gdy wyruszałem spod stacji. Było jeszcze widno, zresztą śnieg spełniał rolę wielkiej tarczy reflektorowej.

Odetchnąłem pełną piersią.

— Hej! jakże daleko poza mną pozostał błotnisty Kraków!

Po pierwszym kilometrze, gdy wydostałem się poza wieś, wiatr przybrał na sile. Przypiąłem deski i posuwałem się drogą, po miałkim puchu, marznącym wierzchem. Przechodząc przez krótki wąwóz, posłyszałem charakterystyczny śpiew śniegów. To wiatr przedmuchiwał po zamarzniętej powierzchni biały, krystaliczny pył. Dęło coraz mocniej. Płatki śniegu stawały się coraz gęstsze. Nie łudziłem się; był to wstęp do porządnej kurniawy. Było już niemal zupełnie ciemno, gdy zszedłem z gościńca, biorąc kurs na widoczny jeszcze, ostatni zrąb Śnieżnicy. Las — który rozciągał się przedemną na przestrzeni kilku kilometrów — stanowił linję, której niepodobieństwem było przeoczyć. Wystarczyło iść prosto przed siebie.

Długim, posuwistym krokiem maszerowałem naprzód. Ściemniło się. Wiatr wzbierał jak górski potok, potężniejąc z każdem uderzeniem. Płatki śniegu wirowały w zawrotnych lejach powietrznych, kurniawa nabierała oddechu.

Zapaliłem reflektor. Teraz dopiero otoczył mnie zewsząd roztańczony labirynt śnieżny. Światło załamywało się na ruchomej białej ścianie. Uderzenia wichury stawały się coraz krótsze. Sypki świst zdmuchiwanego z wydm śniegu potęgował grozę nastroju.

Zgasiłem światło, albowiem utrudniało tylko orjentację. Ogarnęła mnie ciemność. Maszerowałem przez centrum szalejącej kurniawy i zatraciłem najzupełniej świadomość miejsca. Nie wiedziałem już czy las jest przedemną, czy za mną.

Czułem się dobrze, więc postanowiłem iść dalej naprzód w nadziei, że przecież wkońcu osiągnę linję lasu. Wśród drzew wicher jest zawsze słabszy. W ostateczności byłem zdecydowany rozbić namiot i rozpalić ognisko.

Po pewnym czasie jeszcze raz zapaliłem reflektor, aby spojrzeć na zegarek. Dochodziła 8-ma.

— Zaczynam kluczyć! — pomyślałem. — Gdybym był utrzymał dobry kierunek, posuwając się nawet żółwim krokiem, przed dwoma godzinami osiągnąłbym las.

Stwierdzenie tego faktu odebrało mi trochę pewności siebie. Zacząłem odczuwać zmęczenie i charakterystyczny senny ciężar nóg. O rozbiciu namiotu w szczerem polu nie było nawet co marzyć!

Zakląłem solidnie, poprawiłem rzemienie plecaka, roztarłem ręce i kontynuowałem dalej mą „podróż do kresu nocy".

W pewnym momencie ujrzałem przed sobą małe światełko. Zatrzymałem się, obserwując je uważnie. Strumyczek świetlny wystrzelał jakby wprost spod śniegu. Nie mogło to przecież być ognisko. Najprawdopodobniej Jerzy, zaniepokojony moim losem, wyruszył wraz z towarzyszami na poszukiwanie.

Idąc szybko w kierunku tajemniczego światła, przekonałem się wkrótce, że jest ono zupełnie nieruchome. Nie mógł to być Jerzy. Gwizdnąłem kilkakrotnie sygnałówką. Nikt się nie odezwał.

Nagle serce uderzyło mi mocniej. Kilkanaście gwałtownych odepchnięć kijkami i już... już pochylałem się nad gorejącem światełkiem, zabłąkanem wśród kurniawy.

Wbiłem kijki i pochyliłem się szybko. zdaje się niebardzo zachwycona tą przymusową gimnastyką.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że miałem przecież koniak. Wydobyłem manierkę i — uniósłszy głowę dziewczyny — przyłożyłem do jej warg brzeg flaszki. Zakrztusiła się, lecz koniak zrobił swoje. Po chwili uniosła senne powieki i spojrzała na mnie olbrzymiemi, czarnemi oczyma.

— Żyje pani!? — krzyknąłem bez związku.

Wstałem, aby wyprostować trochę plecy. Mojej przygodnej znajomej-nieznajomej należało przedewszystkiem odpiąć narty, które — jak nietrudno się było domyśleć — stały się przyczyną fatalnego upadku. Prawdopodobnie najechała na bruzdę, z której wiatr zdmuchnął śnieg, upadła i nie potrafiła już wstać.

Przyklęknąłem powtórnie i odpiąłem deski z jej małych nóżek. Jeszcze raz poczęstowałem ją koniakiem i ciężkie, senne powieki przetarłem śniegiem. chałam na grudę, przewróciłam się i nie mogłam już wstać. Szamotałam się z godzinę. Byłam już tak zmęczona, że postanowiłam chwilę odpocząć...

— I ten odpoczynek panią zgubił — wpadłem jej w słowo.

— A pan mnie odnalazł! — roześmiała się.

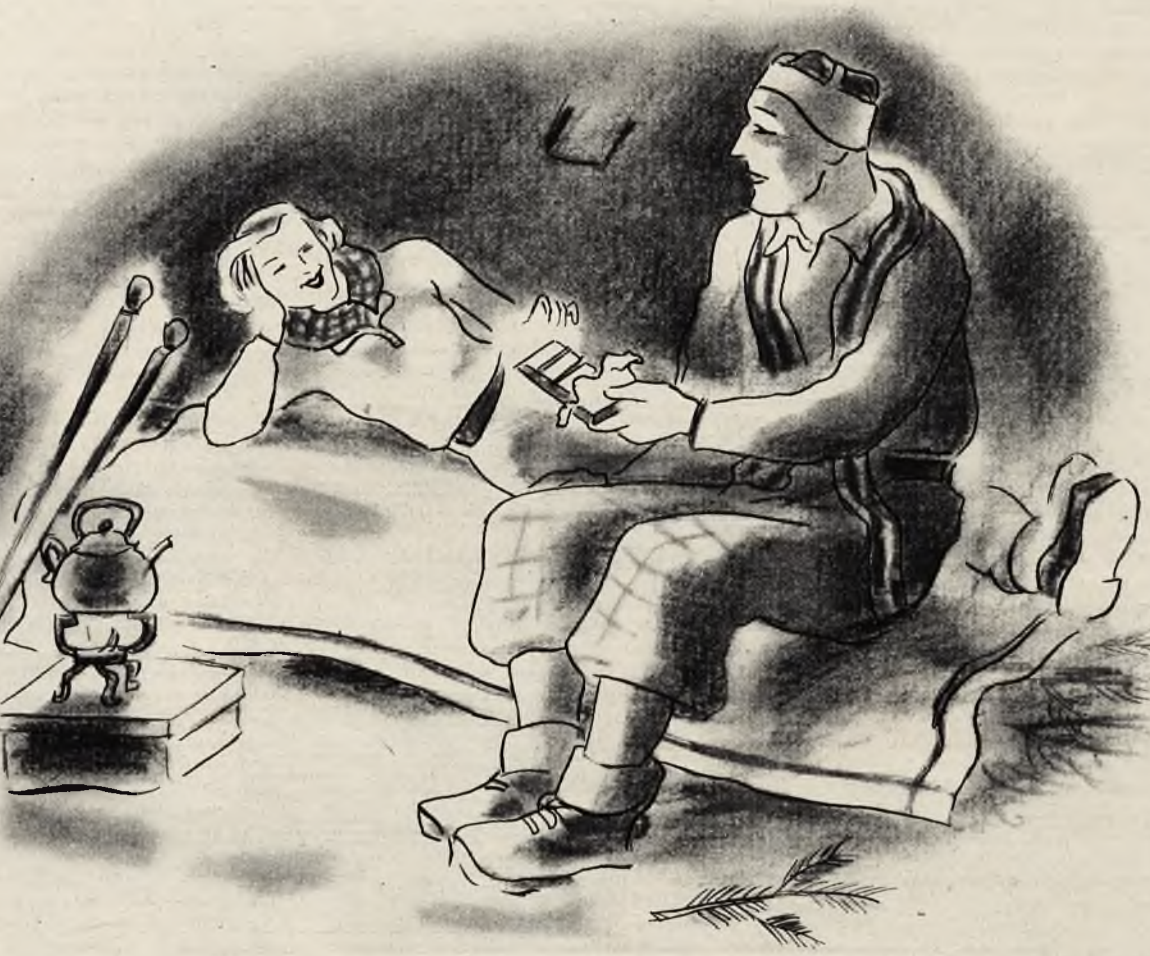
Ja również roześmiałem się szczerze. Byłem szczęśliwy spowodu tej przygody i błogosławiłem w duchu Jerzego, który prawdopodobnie opłakiwał w tej chwili wraz z towarzyszami moją tragiczną śmierć.

— Więc pani przyjechała tu do Stryja na święta?

— Tak. Święta spędzam zawsze we dworze w Słupach.

— Dziwne, że do tej pory nie spotkaliśmy się — uśmiechnąłem się.

Po godzinie moja znajoma przyszła zupełnie do siebie. Pragnęła nawet wracać do domu, na szczęście kurniawa dęła nadal i tylko w naszej kotlince, obok płonącego



— Czy pani wie, że to wigilja?...

Z śniegu sterczała ręka w narciarskiej rękawicy, z przyczepioną na pętli latarką elektryczną. Ukląkłem na deskach, aby nie zapaść się w śnieg i bezładnemi ruchami zacząłem odkopywać nieszczęśliwego. Musiał upaść niedawno, bo był zaledwie przyprószony. Zapaliłem reflektor i — przymocowawszy go sobie na piersiach — zdjąłem rękawicę i odgarnąłem nią śnieg z twarzy zemdlonego.

Oczom moim objawiła się — bo inaczej trudno mi to nazwać — bledziutka, piękna twarz młodej kobiety. Zdarłem drugą rękawicę i drżącemi z pośpiechu rękami rozwiązałem szalik na szyi nieznajomej, rozpiąłem jej wiatrówkę i zacząłem skronie, policzki i kark nacierać śniegiem. Po chwili powieki jej lekko drgnęły. Krzyknąłem z radości na cały głos i z furją ponowiłem śnieżny masaż. Sam byłem bliski omdlenia. Gdy policzki jej ożywiły się rumieńcem, zapiąłem spowrotem wiatrówkę, otuliwszy szczelnie jej szyję szalikiem. Teraz przyszła kolej na sztuczne oddychanie. Na szczęście już po kilku ruchach, nieznajoma jęknęła cicho,

W pół godziny potem, na małej zacisznej polance, palił się wesoło ogień. Płomień buchał wysoko, a żywiczny zapach igliwia rozchodził się wokół.

W namiocie, w dość znacznej odległości od ogniska, na polowym tapczanie z jodłowych gałęzi, przykrytych moim kocem, spoczywała nieznajoma i popijała herbatę. Natomiast ja, mimo protestów, rozcierałem jej bose stopy. Gdy krew zaczęła w nich pulsować, natarłem je masłem zdrapanem z bułki i nałożyłem na nie spowrotem grube wełniane skarpetki i narciarskie buty.

— Więc wyjechała pani naprzeciw brata, który wybrał się na polowanie? — podjąłem po chwili urwaną rozmowę.

— Tak. To mój drugi sezon narciarski — dodała, jakby z usprawiedliwieniem. — Wśród drzew zgubiłam drogę i ściemniło się, gdy wydostałam się z lasu. Nie natrafiłam już na gościniec, którym szłam poprzednio. Zaskoczyła mnie kurniawa, naje- ogniska, do którego ciągle dorzucałem świeżych gałęzi, było względnie zacisznie. Z powodu wiatru musiałem zrezygnować z gotowania herbaty na ogniu. Na szczęście miałem ze sobą turystyczną maszynkę spirytusową. Po chwili siedzieliśmy obok siebie na zaimprowizowanym tapczanie i popijaliśmy gorącą herbatę.

— Czy pani wie, że to wigilja? — zapytałem po chwili. — Ponieważ nie mamy opłatka, przełamiemy się czemś słodszem.—

Sięgnąłem do plecaka i wydobyłem tabliczkę wedlowskiej czekolady.

— Jak pani na imię?

— Ewa.

— A mnie Juljusz.

W milczeniu przełamaliśmy czekoladę, patrząc sobie głęboko w oczy.

W górze iskrzyły się gwiazdy. Kurniawa pognała gdzieś na krańce świata. Spełniła przecież swą rolę, bo pchnęła w moje ramiona mą przyszłą żonę.

Wesoło strzelały płomienie ogniska, kładąc migotliwe, czerwone plamy na pnie świerków i sosen.

NA ŚNIEGU I LODZIE

Dzwon olimpijski dzwoni coraz donośniej i tempo przygotowań sportowych w całym świecie osiągnęło swój punkt szczytowy, gdyż krótki tylko okres czasu dzieli nas od chwili otwarcia IV Igrzysk Zimowych w Garmisch-Partenkirchen. Najpiękniejszy górski zakątek III Rzeszy oczekuje na przybycie wybrańców 23 narodów, którzy na śniegu i lodzie walczyć będą o laur olimpijski!

Igrzyska zimowe są znacznie „młodsze" od igrzysk letnich — zorganizowane zostały po raz pierwszy w roku olimpjady paryskiej (1924 r.), a następnie w St. Moritz i Lake Placid (Ameryka) dały w latach 1928 i 1932 obraz niesłychanego wprost rozwoju takich sportów, jak narciarstwo, hokej lodowy itd. Nic dziwnego—któż z nas nie pragnie wymknąć się ze zgiełku miast XX wieku w przestrzeń ośnieżonych gór, gdzie słońce świeci jaśniej i weselej — tam gdzie giną troski i zmartwienia codzienne wobec potęgi natury! Rok rocznie coraz więcej narciarzy przemierza wszystkie dostępne i niedostępne szlaki w naszych górach i czy można nie zazdrościć klimatu krajom Skandynawji? Tam nie muszą narciarze wyczekiwać aż do stycznia na pierwszy śnieg, nie martwią się jak u nas, że południowy wiatr stopi zaraz jego warstwę — a zresztą konfiguracja kraju już sama powoduje, że Norwegowie i Szwedzi są ciągle niedoścignionymi mistrzami nart.

A czy możemy zrozumieć przyjemność jaką daje żeglarstwo lodowe? — Po bezkresnej przestrzeni zamarzniętych jezior finlandzkich lub zatoki Botnickiej sunie łyżwiarz z żaglem, przymocowanym do pleców z wiatrem w zawody, przemierzarzając bez najmniejszego wysiłku dziesiątki kilometrów. — Tak, zima ma swój urok — ale zima północy, zima gór, która wymaga od człowieka energji i wytrzymałości, a dając mu tyle pięknych wrażeń.

Wyobraźmy sobie, że znajdujemy się w Garmisch-Partenkirchen 6 lutego 1936. Uroczy zakątek wśród gór Bawarji leży jeszcze w zupełnym cieniu, gdy wtem na szczycie jednego ze wzgórz ze specjalnie wzniesionej wieży bucha w górę czerwono-żółtawy płomień. Blask znicza olimpijskiego oznajmia wszystkim, że igrzyska olimpijskie rozpoczęte. Przez dziesięć dni świecić on będzie na znak, że bezkrwawa walka trwa — że oto wybrańcy 23 krajów wytężają wszystkie swe siły, aby dowieść, kto lepszy i silniejszy. I znowu synowie krajów północy uniosą w swe strony palmy zwycięstwa — bo czy można zwyciężyć tych, którzy pierwej umieli jeździć na nartach aniżeli chodzić? Cóż z tego, że w krajach środkowej Europy liczy się „łamaczy desek" już nie na tysiące, ale na miljony — niejedno pokolenie minąć musi, zanim dorównamy tym, którym pobyt na śniegu wszedł już w krew i gdzie przeciętna jednostka jest, może dzięki temu właśnie, o wiele zdrowsza i wytrzymalsza niż w krajach południa.

Ceremonja otwarcia igrzysk zimowych nie dorówna naturalnie świetnością głównej olimpjadzie, ale na stadjonie lodowym stanie kilkuset zawodników, ślubując że walczyć będą honorowo... Na pierwszy ogień pójdą zawody hokejowe, który to sport jest jednym z najpiękniejszych, jakie wogóle ma





W znanej ze sportów zimowych miejscowości Garmisch-Partenkirchen w Alpach bawarskich istnieje wspaniały tor bobslejowy, który również w przyszłej olimpjadzie będzie służył sportowcom.

program olimpijski. Nie ma on sobie równych, jeżeli chodzi o szybkość akcji i zręczność — wymaga nadzwyczajnej przytomności umysłu i ostoja drużyny — bramkarz, musi wciąż prawie walczyć, narażając nieomal swe życie. Czy jest chociaż jeden z czytelników „Asa", który nie chciałby zobaczyć rozgrywki finałowej, gdzie jak dzisiaj możemy przewidzieć. spotkają się drużyny Kanady i Stanów Zjednoczonych? — W tych sportach, gdzie mniejszą rolę gra wytrzymałość a większą szybkość i zręczność, Nowy Świat jest niedościgniony. Minęły wprawdzie bezpowrotnie czasy, kiedy można było zobaczyć raz po raz w ciągu niecałej godziny następujący obraz: Oto gracz z liściem klonu (herb Kanady) wyhaftowanym na swetrze, zawładną, krążkiem: zanim przeciwnicy się zorjentowali, już atak Kanady przebił się przez ich formacje i krążek, który zdawał się dotąd, jakby przylepionym do kija, leci z szybkością pocisku w jedyny odsłonięty kąt bramki. Dzisiaj już nie idzie to tak łatwo — uczniowie coraz więcej zbliżają się do mistrzów, a że nietylko Polska i Niemcy staną w obronie starego kontynentu tak, jak to było w 1932 r., trzechkrotni zwycięzcy olimpijscy będą musieli zmobilizować swe najlepsze siły na wyprawę do Niemiec. O potędze kanadyjskiego hokeju świadczy aż nazbyt dobitnie fakt, że kraj ten mógł dotąd powierzyć obronę swych barw za każdym razem innemu klubowi. Toronto Granites, Toroto Varsity Grads i Winnipeg Hockey Club — mistrzowie świata 1924, 1928 i 1932 nie mogą jednak podobno dorównać zawodowcom ka-

siebie, aby pokazać sportowemu światu, że Polska w każdej dziedzinie ze wszystkimi mierzyć się może, ale i naszym obowiązkiem jest dopomóc Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu, aby ten mógł zapewnić reprezentantom Polski przygotowania i udział w igrzyskach zimowych

Jako „uzupełnienie" powyższego artykułu podajemy program olimpjady zimowej w Garmisch-Partenkirchen:

Hokej lodowy od 6. II. do 16. II.

Narciarstwo:

bieg zjazdowy 7. II., slalom 8 i 9 II., sztafeta 10., 18 km. bieg — 12 II;
skoki do kombinacj — 13 II;
bieg patrolowy — 14. II;
bieg 50 km. — 15. II;
skoki — 16. II.

Jazda sztuczna na lodzie: 9, 10, 13, 14, 15. jazda szybka na lodzie 10—14 II.

Wyścigi bobslejowe: 8, 9, 11, 12 II.

Witold Horain.



Okolice Garmisch-Partenkirchen odznaczają się charakterystycznemi bawarskiemi budowlami.



Olimpijski stadjon lodowy w Garmisch-Partenkirchen.



Na lewo: Widok ostatniej części trasy i mety biegu zjazdowego na zboczach Kreuzeck w Garmisch-Partenkirchen.

nadyjskim! — Piszemy — podobno — gdyż dla nas wydawali się oni szczytem doskonałości — a zawodowców jeszcze Europa nie oglądała.

Nie można sobie wyobrazić, aby był ktoś, kto nie słyszał nazwiska: Sonja Henie. Niech zaś żałują wszyscy ci, którzy nie mieli sposobności ujrzeć niezrównanej łyżwiarki. Jazda sztuczna, to coś krańcowo różnego od hokeja — tam brutalna nieraz walka — tutaj harmonja ruchów, doprowadzona do perfekcji, tam emocja i nieprzewidziane momenty błyskawicznych akcyj — tu znowu spokój i wycyzelowane przebieganie zawiłych linij kolistych i spiralnych. Po „programie szkolnym" temperament zawodnika wyładowuje się w jeździe dowolnej, która daje mu możność wykonania skoków i piruetów mrożących wprost krew w żyłach widzów. — W jeździe parami decyduje rytmika i zgranie — i któreż miasto, jak nie stolica walców, Wiedeń wydać tu musiało najlepsze siły?

Ostatni dzień igrzysk zimowych: pomyślmy sobie znowu, że stoimy wśród dziesięciotysięcznego tłumu u stóp skoczni olimpijskiej; o godzinie jedenastej początek; na szczycie olbrzymiego rusztowania, stanowiącego rozbieg, pojawia się narciarz. Kilkaset metrów dzieli go od nas, gdy na dany znak zaczyna zjeżdżać. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, jaką szybkość osiągnął, gdy już znajduje się na progu odskoczni — niedostrzegalny ruch odbicia w chwili „rozstania się z ziemią" i lotem strzały szybuje przez powietrze. — Ten, kto po raz pierwszy obserwuje skok narciarski nie może powstrzymać okrzyku przerażenia, ale oto już 60 metrów poniżej prowadzone na milimetr równolegle narty zetknęły się ze śniegiem: człowiek, który przez 3 sekundy może szybował ponad linją horyzontu, zatrzymuje się bezpiecznie. Lecz znowu wznosimy wzrok w górę. Na szczycie odskoczni pojawia się drugi, który wnet skacze śladem pierwszego. Za nim trzeci, czwarty, dziesiąty — za każdym razem nowe słynne nazwisko jest wywoływane i czyż nie będą bić żywiej serca Polaków, obserwujących ten najtrudniejszy punkt progamu olimpijskiego, gdy zobaczą zdala sylwetki naszych najlepszych: Bronisława Czecha i Stanisława Marusarza? Wiemy dobrze, że dadzą oni wszystko ze



Na lewo: Skocznia mniejsza olimpijska w Garmisch-Partenkirchen w czasie biegu nocnego.



Na lewo: Większa skocznia olimpijska w Garmisch-Partenkirchen, na której rozegrały się międzynarodowe zawody narciarskie o mistrzostwo Niemiec w r. 1935.

Stop! Dalej niema zjazdu...



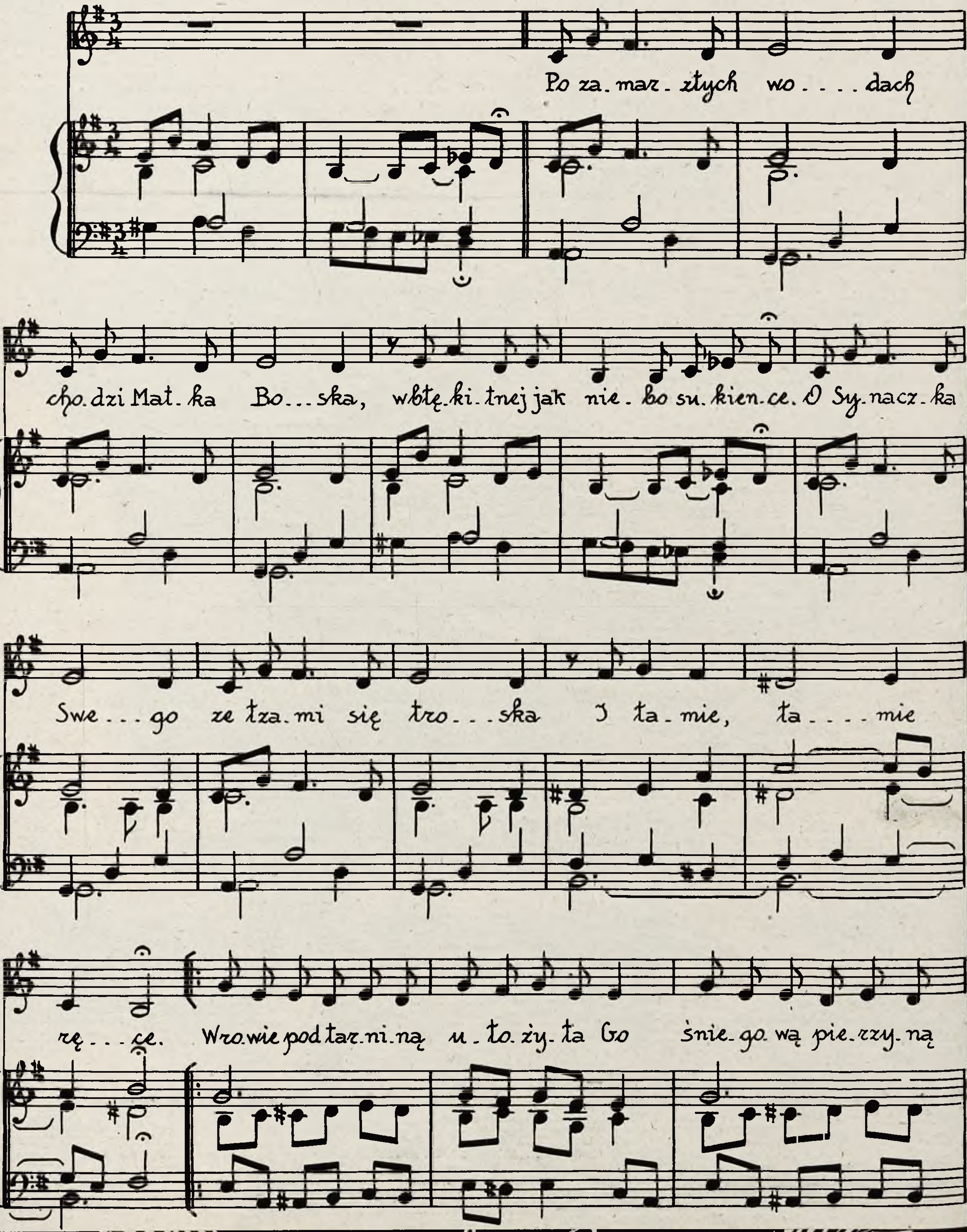
Kolenda... Kolenda...

I.

PO ZAMARŁYCH WODACH...

Słowa Kazimiery Iłłakowiczówny

Muzyka Jadwigi Mehofferowej





II.

PRZYLECIELI TAK ŚLICZNI ANIELI...

Słowa ze starej kantyczki **Muzyka Jadwigi Mehofferowej**



Dokończenie ze str. 14.

za duży, aby go mógł połknąć. Próbowałem zagłodzić go i przestałem łapać ryby, ale zadowolił się robakami, zbieranemi w płytkiej wodzie. Połowę czasu spędzałem zanurzony po szyję w lagunie, a drugą połowę na drzewach palmowych. Jedno z nich nie było zbyt wysokie i kiedy mnie raz dopadł, użył sobie na moich łydkach. Nie wiem, czy próbował pan kiedy spać na drzewie palmowem? Przyprawia to o okropne sny. A potem, ten wstyd! Z jednej strony panoszący się i rozbijający po wyspie, jak udzielny książę, ten przedhistoryczny stwór, z drugiej ja, nie mający dla siebie nawet piędzi ziemi. Płakałem ze wstydu i ze zmęczenia. Mówiłem mu, że nie chcę, aby jakiś żyjący anachronizm polował na mnie na bezludnej wyspie. Mówiłem, aby szedł szukać jakiegoś rówieśnika żeglarza. Ale on tylko groził mi dziobem. Wielki, obrzydliwy ptak, same nogi i szyja!

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Zabiłbym go wcześniej, gdybym wiedział jak. Ale wkońcu dostałem go. Jest to sposób południowo-amerykański. Związałem wszystkie moje wędki z wodorostami i zrobiłem silny sznur, długi na jakie dwanaście yardów, przywiązując na końcu dwa kawałki korala. Zabrało mi to trochę czasu, gdyż ciągle uciekać musiałem do laguny lub na drzewo. Sznur okręciłem nad moją głową, a potem rzuciłem na niego. Pierwszym razem nie udało mi się, ale następnym sznur spadł na jego nogi i okręcił się dokoła nich kilkakrotnie. Ptak przewrócił się. Zarzuciłem lasso, stojąc po piersi w wodzie, ale kiedy upadł wyskoczyłem na brzeg i poderżnąłem mu gardło nożem..

Wspomnienie to nawet dziś jest dla mnie przykre. Doznawałem uczucia, że jestem mordercą, chociaż byłem na niego wściekły. Kiedy tak stałem nad nim, patrząc jak krew jego spływa na piasek, jak jego wspaniałe, wielkie nogi i kark prężą się w przedśmiertnej agonji... Oh!

Po tej tragedji samotność stała mi się przekleństwem. Wielki Boże! Nie ma pan pojęcia, jak mi było brak tego ptaka! Siedziałem przy jego trupie i opłakiwałem go, a kiedy spojrzałem na ciche, nagie skały, przenikał mnie dreszcz. Przypominałem sobie, jakiem rozkosznem pisklęciem był zaraz po wykłuciu się z jaja i jakie umiał płatać figle, zanim zeszedł na manowce. Żałowałem, że go nie zraniłem tylko i nie nauczyłem później odpowiedniego zachowania się. Wrzuciłem ptaka do laguny, gdzie małe rybki ogryzły go do kości. Nie pozostawiłem nawet piór. Potem, pewnego dnia, jakiś jegomość, przepływający opodal na yachcie, zwiedził atol dla kaprysu.

Przybył w sam czas, gdyż samotność przyprawiła mnie o chorobę i zastanawiałem się właśnie, czy utopić się w morzu czy też zabić się na lądzie...

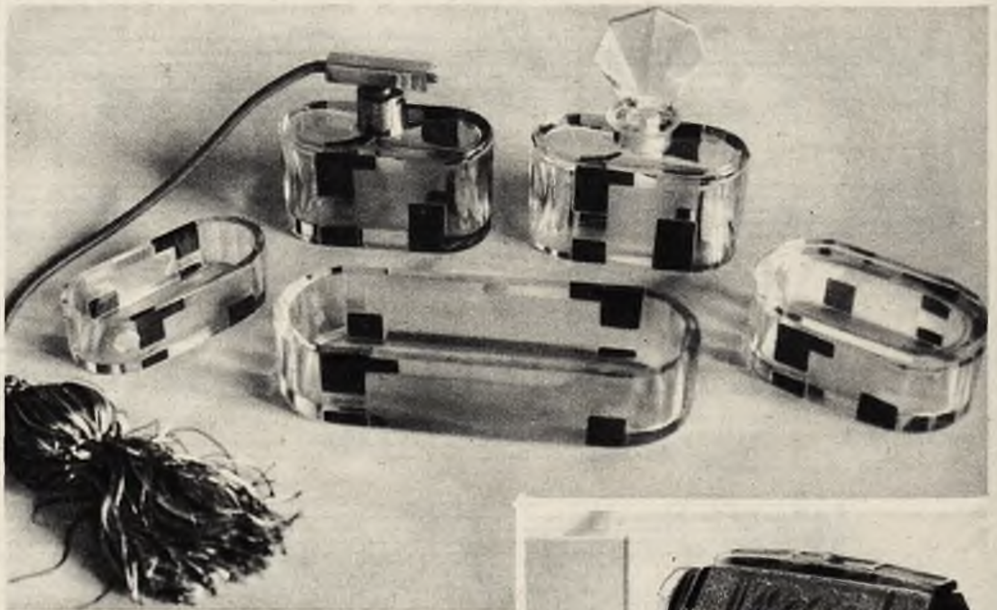
Sprzedałem kości przedsiębiorcy w pobliżu Muzeum Brytyjskiego, nazwiskiem Winslow, a on, jak mówił, sprzedał je staremu Haversowi. Zdaje się, że Havers nie uważał je za odznaczające się szczególną wielkością i dopiero po jego śmierci zwróciły uwagę. Nazwano je Aepyornis — nie przypomina pan sobie?

— Aepyornis Vastus — rzekłem. — Rzecz ciekawa, że wspominał mi o tem mój przyjaciel. Kiedy znaleziono Aepyornisa z kością udową długą na yard, nazwano go Aepyornis maximus. Potem ktoś wygrzebał kość udową, długą na cztery stopy sześć cali lub więcej i nazwano ją Aepyornis titan. Potem znaleziono pańskiego „vastusa" po śmierci Haversa w jego zbiorach, a jeszcze później wygrzebano „vastissimusa"

— Winslow wspominał mi o tem — rzekł człowiek z blizną. — Jeśli znajdą więcej Aepyornisów uczeni będą mieli kłopot. Ale powiedz pan, czy to nie dziwna przygoda? I czy przytrafiło się komuś coś podobnego?

NAGRODY

Konkursu na najpiękniejszy uśmiech



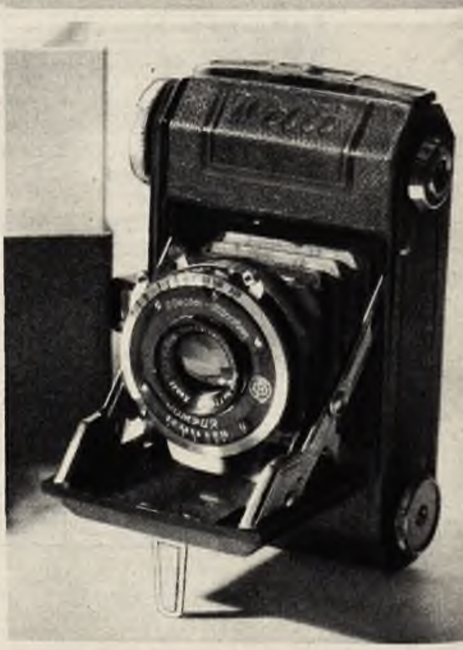
II. NAGRODA DLA PANI.

Kryształowa zastawa na toaletę, odznaczająca się oryginalną formą i pięknem wykończeniem szlifu.



NAGRODA DLA DZIECKA.

„Młody Edison" — zabawka, umożliwiająca zbudowanie prawdziwego dzwonka elekrycznego, telegrafu i in.



II. NAGRODA DLA PANA.

Aparat fotograficzny „Welta", marki Decket, Monachjum — z objektywem 1:3,5 i zatrzaskiem Compur.



III. NAGRODA DLA PANI.

Luksusowa torebka z bronzowej skóry krokodylowej, zaopatrzona w oryginalny zamek z szlachetnego drzewa.



IV. NAGRODA DLA PANI.

Jedwabna parasolka, odznaczająca się oryginalną konstrukcją, umożliwiającą złożenie jej do minjaturowego pokrowca. →

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

18-ty ODCINEK.

— Tak jest — dokładnie za 22 dni, droga pani.

— Przyszłam więc, żeby znaleźć inne wyjście.

— Inne wyjście? Ależ jak najchętniej! Jestem do usług pani. Proszę prędko powiedzieć, co to za inne wyjście?

— Ja... Ja nie wiem... Nie zastanawiałam się nad tem... Liczyłam, że pan sam znajdzie...

— Doskonale! — Doskonale! — Zastanowimy się więc razem, moja maleńka śliczna pani, jakieby tu wyjście znaleźć...

Dreszcz przeszedł po niej. Ta niesłychana poufałość! Chciała wstać — zerwać rozmowę, lecz przypomniał się jej Plessoje, który za dwa dni miał u niej być na śniadaniu — i opanowała się.

— Powiedzmy naprzykład tak: — zaczęła, starając się oponować drżenie w głosie — pan oddaje mi obraz, a ja podpisuję panu zobowiązanie płacenia zdwojonego procentu, od pożyczonej sumy.

— Moja maleńka, droga pani! Jakież to dziecko doprawdy z pani, żeby przypuszczać, że procent, to rzecz najważniejsza w interesach, o tak małym kapitale obrotowym, jak moje! Wejść spowrotem w posiadanie mojej gotówki, oto co jest koniecznem dla mnie — i to najwyżej w dwanaście godzin po upływie terminu zwrotu! — Bo jak nie, to cały ten mizerny gmaszek, do którego mogę porównać moje interesy, runie. — Ja także mam terminy płatności — i wspólników, którzy nie żartują!

— Co?! — szepnęła blednąc Roberta. — Chyba pan nie chce powiedzieć, że...

— O, niechże mi pani daruje, jeżeli nie mówię dość jasno! Ale tak małą mam wprawę w traktowaniu tych spraw... Cyfry — weksle — zobowiązania! W moim wieku uczyć się tego... Nie, proszę to sobie tylko wyobrazić, maleńka!

— Jednem słowem — przerwała mu Roberta — żąda pan, żebym 19 października spłaciła te 30 tysięcy franków, które mi pan pożyczył?

— 33 tysiące. Ta drobna różnica niema znaczenia dla pani... Dla mnie jest to poważna suma — bo uważam, że te procenciki stanowią zawsze część mego kapitału... I ja i moi wspólnicy starzejemy się... A starość ma swoje dziwactwa... Nie trzeba się dziwić, ani mieć żalu do nas...

— A co się stanie, jak nie będę mogła ich spłacić?

— Moja śliczna pani! A toby mnie pani wprawiła w niemały kłopot! Byłbym zmuszony wystawić obraz

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Renoira na sprzedaż... A to, widzi pani, eksperci — ogłoszenia... Zaraz koszt dodatkowy dla mnie... Ale poniosę go — cóż robić! — żeby pani oszczędzić innych kłopotów...

— Ależ pan tego chyba nie mówi serjo?! — krzyknęła Roberta. — Nie ma pan prawa! — Wie pan przecież, że obraz ten nie należy do mnie!

— W takim razie, dziecko drogie, jakże można było dawać go w zastaw?!

— I p a n o to pyta?! — Przecież przyszedł pan do mnie, żeby wybrać to, co panu najlepiej odpowie, jako gwarancja pożyczki. Czyż nie oświadczył pan wtedy, że jedynie ten obraz może stanowić zabezpieczenie dla pana? — Mówił pan także, że nie potrzebuję się obawiać niczego — że o ile zaszłaby potrzeba, to gotów pan czekać w nieskończoność i godzić się na odnawianie weksla.

W nieruchomem i martwem spojrzeniu pana Laivre-Filieu ukazał się nagle błysk jakiejś niesamowitej i niezdrowej rozkoszy...

— Ot, człowiek strzela — zaczął powoli.

— A więc niech będzie! Zrujnuję się — przerwała mu Roberta. — Wolę to nawet... Proszę, niech pan zabiera wszystkie moje meble. Nawet, gdyby je pan sprzedał za połowę wartości, to jeszcze może pan pokryć uzyskaną sumą dwukrotnie swoją wierzytelność. — Ale obraz, proszę mi oddać zaraz!

— Czy pani doprawdy chce mnie obrazić, dziecinko? — Czyż wyglądam na handlarza staremi meblami?

— Więc sprzedam je sama!

— O, jakaż rozkoszna trzpiotka z pani! — Czy mam przynieść umowę, jaką spisaliśmy co do mebli pani? — Ale nie — przecież uwierzy mi pani na słowo...

— Jaką umowę? — wyjąkała Roberta.

— Zobowiązała się pani na piśmie nie usunąć ani jednego przedmiotu ze swego mieszkania. Stanowi to zabezpieczenie moich procentów.

— A cóż w takim razie znaczy ten obraz u pana?

— Obraz zabezpiecza tylko mój kapitał. — Złoto moje, przecież mówiłem już: — i przepraszałem za to nawet — jestem trochę dziwak i pedant na punkcie interesów. Do tego stopnia nawet, że stróżka pani otrzymała polecenie — o, zrobiono to z całą dyskrecją, lecz nie mniej za pośrednictwem komornika — by przeszkodziła ewentualnemu wynoszeniu z mieszkania pani jakichkolwiek mebli, dywanów — bibelotów oczywiście także...

Na te słowa Roberta, która już powstała, musiała usiąść spowrotem — poprostu czarno zrobiło się jej przed oczyma. Serce jej biło nieregularnemi uderzeniami — jej zaś zdawało się, że każde z tych uderzeń wprawia cały pokój w drżenie. Obraz Renoira — Plessoye — popielato-blond broda lichwiarza — wszystko mieszało się jej w głowie.

— To złodziejstwo! — wyrzekła wreszcie. — Co za podłość! — Udam się do sądu — zaskarżę...

— Przepraszam, kochanie — a kogóż to zaskarżysz? Oczywiście, że chyba osobę, która wzięła pożyczkę na obraz, nie będący jej własnością... I dobrze pani zrobi... W sądzie nie bardzo lubią tego rodzaju interesów...

Po chwilowem milczeniu p. Laivre-Filieu zaczął znowu:

— Ale czemuż przybierać sobie zaraz takie straszne rzeczy do tej szalonej maleńkiej główki! Taka piękna pani znajdzie zawsze sposób porozumienia się z właścicielem obrazu... A trzeba przyznać, w tym wypadku, że właściciel jest człowiekiem o niesłychanie wykwitnym smaku...

Zniewaga wróciła Robercie panowanie nad sobą. Z zimną rozpaczą spojrzała w twarz p. Laivre-Filieu i zrozumiała, że od początku rozmowy człowiek ten miał jeden tylko cel: konsekwentnie od słowa do słowa — od jednego upokorzenia do drugiego wiódł ją do tego brudnego zakończenia. Chciało mu się obrazu, to pewne — ale bardziej jeszcze może pragnął tej tajemnie odczuwanej, niezdrowej i obrzydliwej rozkoszy, pod wpływem której zaróżowiły się teraz jego woskowe policzki — od której drżały końce cienkich, kościstych jego palców.

Roberta wyszła, nie prosząc go już o nic.

* * *

W chwili, kiedy Roberta opuszczała dom na bulwarze Malesherbes, Vivant i Le Droz zbudzili się właśnie ze snu, na ulicy de Provence.

Od czasu owego obiadu w Lasku Bulońskim z Grahamem, z umysłu urządzili sobie w ten sposób życie, by czuwać w nocy, a przesypiać dnie. Orkiestry w nocnych lokalach Montparnassu i Montmartru — światła — zapach



Roberta zastała ich pijących kawę w szlafrokach.

perfum i szminek — alkohol — taniec i łatwe miłostki usypiały ich udrękę, próżne żale i nędzę. Żeby zdobyć kapitały na to nocne życie Vivant zdecydował się na ostateczną ofiarę: sprzedał auto. Le Droz zaś przez cały ten okres miał jakoś dosyć szczęścia w kartach. Pani Mettenat, dzięki szalonym historjom, które opowiadał jej Vivant, doszła do przekonania, iż takie, a nie inne, bywa normalne życie artystów. I mimo, że od trzech miesięcy Le Droz zalegał już z czynszem — mimo, że sprawę pożyczonego tysiąca pokrywał kompletnem milczeniem, dama ta darzyła ciągle swego lokatora niezachwianem zaufaniem. Fakt ten można uważać za jedyny w tym okresie, widomy przejaw owego pierwiastka cudowności, na którym, jak na opoce, dwaj przyjaciele budowali swe życie i wszechświat. Na razie wystarczał im on.

Roberta zastała ich pijących kawę w szlafrokach.

— Le Droz! — Vivant! — Ratunku! — zawołała. — Was jednych tylko mam na świecie! — Tym razem chodzi już o moje życie!

Z niesłychanym trudem, kawałek po kawałku wyciągnęli z niej wreszcie — wśród skarg, łez i narzekań — powód tej rozpaczy.

— Stary sadysta! — mruknął Le Droz. — Sam nie wiedziałem czemu, a bałem się go zawsze...

— O, jakże ja mogłam — jęczała Roberta — jak mogłam! — Ale taka byłam pewna tego zamówienia! A tymczasem Brazylijczyk wyjechał nagle do Ameryki... Okazało się, że był zrujnowany... — A wasz interes, z tym filmem? — Nie z tego także?

I nagle ogarnął ją dziwny spokój.

— W takim razie, wszystko pójdzie łatwo... — wyrzekła półgłosem.

— Cicho bądź! — rzucił twardym, rozkazującym głosem Le Droz. — Nikt nie zabija się dla takiego głupstwa. — Bezwarunkowo, Plessoyo nie zaskarży cię.

— To bym już zniosła... raczej. — Ale przyznać się jemu... Nie!

Zapadło długie milczenie. Nagle Vivant — nie tyle powodowany troską osobistą, ile raczej, żeby je przerwać — zapytał:

— Czy to bardzo poważna sprawa, kiedy ktoś sprzeda auto, które służyło za gwarancję pożyczki?

— Jakto — rzucił się Le Droz — twój wóz...

— A na cóż Laivre-Filieu byłby mi pożyczył 3 tysiące franków?

— W takim razie, jeżeli go nie spłacisz — to i tobie patrzy się koza...

— Widzisz Roberto — słyszałaś? — zawołał na to Vivant. — To już znacznie lepiej wygląda! Przesiedzimy się oboje. I mamy nawet ten sam termin: połowa października.

Młoda kobieta uśmiechnęła się na te słowa, ale tak boleśnie, że Le Droz aż zgrzytnął zębami.

— Głupie masz dowcipy — skarcił Ivana. — Trzeba was wyciągnąć z tego... I wyciągnie się! — Trzy tygodnie przed nami — to dużo!

— Ale Plessoje przychodzi pojutrze na śniadanie do mnie...

— Powiesz mu, że jakiś ewentualny nabywca zabrał obraz dla oceny. — A zresztą, może i tego nie będzie potrzeba... Ile masz jeszcze pieniędzy?

— Około 1.600 franków.

— Schowaj 600 na bieżące wydatki. My z Ivanem mamy do spółki także tysiąc franków. Te pieniądze nie znaczą już nic teraz, a ja chwilowo jestem w dobrej passie. Trzeba skorzystać z tego.

W kilka minut obaj przyjaciele zebrali się. Le Droz wyrzucił Robertę i Ivana w jednym z barów na Polach Elizejskich — sam zaś kazał się wieźć do pewnego klubu w sąsiedztwie, gdzie wiedział, że o tej porze, nad wieczorem, grano dosyć wysoko.

Godzina dobiegała końca — (żadno z nich nie miało jej nigdy zapomnieć w życiu!) — kiedy Roberta i Vivant zobaczyli wracającego Le Droza. Dolna szczęka drżała mu. Szedł jakimś nierównym, urywanym krokiem.

— Przegrałeś? — zapytał Vivant, że źle zagraną swobodą. — Eee, trochę więcej — trochę mniej...

Le Droz nie odpowiadał. Nie mógł absolutnie opanować drżenia dolnej szczęki.

— Mój drogi — szepnęła czule Roberta — uspokój się...

— Otóż i ja stałem się kandydatem na ławę oskarżonych — zaczął wolno. Grałem źle... byłem zanadto zdenerwowany... Nie mogłem się cofać, bo przecież chodziło o wasz ratunek... Podpisywałem jeden za drugiem czeki bez pokrycia — póki chcieli przyjmować... W sumie na ośmnaście tysięcy... Zamkną mnie przed wami jeszcze— uzyskałem z biedą tylko dwutygodniowy termin. — Czternastego października pójdę już czekać na ciebie Roberto — po tamtej stronie... — Kelner! Grogu! — Ale wrzącego! — Marznie się na kość w tej budzie.

* * *

I siedzieli tak bardzo długo, nie mówiąc do siebie — i pili. Lali w siebie alkohol, który żadnej nie miał nad nimi mocy. Wreszcie Vivant wydał głuchy okrzyk i zaraz szepnął:

— Patrzcie, kto wchodzi...

To p. Laivre-Filieu wchodził do baru — nie głównem wejściem, broń Boże! — ale dyskretniejszem, bocznem, z ulicy Marbeuf. Niedaleko wejścia, w zagłębieniu jakie czynił kołowrót drzwi, zajmował stolik jakiś otyły, wulgarnie wyglądający jegomość.

Lichwiarz skierował się ku niemu, usiadł przy jego stoliku i zaczął z nim cichą rozmowę.

— Nie — szepnął Vivant, ściskając pod stołem kolano Le Droza — jeszcze nie... Trzynastego października, jeżeli chcesz... Dziś on do mnie należy! — Mam świetny pomysł.

Wstał i wyszedł z baru. Wrócił po kilku minutach, trzymając rękę w kieszeni i zakomenderował:

— Ty, Le Droz staniesz na trotuarze, przy wejściu od ulicy Marbeuf — i twoja głowa w tem, żeby kołowrót drzwi był w ruchu, kiedy się ukażę przy nich — Roberta niech weźmie taksówkę i niech czeka na nas o kilka kroków dalej. Drzwi taksówki niech będą otwarte...

Ledwie Roberta i Le Droz znaleźli się na przykazanych stanowiskach, kiedy z lokalu doleciał ich krzyk pełen przestrachu i zgrozy. Jeszcze nie przebrzmiał, a już Vivant jak bomba wypadł z kołowrotu drzwi, trzymając w ręku, niby fragment peruki, brodę pana Laivre-Filieu. Razem z Le Drozem rzucili się do czekającego auta.

— Sam nie widziałem, że mam takie fryzjerskie zdolności — rzekł Vivant, wyrzucając przez okno taksówki brzytwę, którą co dopiero był kupił...

* * *

Kiedy znaleźli się u Roberty, Vivan począł się przyglądać z zadowoleniem swojemu trofeum i oświadczył:

— Nie wiem, jak wy — ale ja, czuję się o wiele lepiej teraz.

— My również — przyznali się tamci.

— Gdybyście tak byli zobaczyli jego gębę, bez tej włochatej osłony, zrozumielibyście wszystko. — Ma potworną brodę — jak stary kalosz! Wstręt bierze patrzeć.

W tem wzrok jego pogonił po amfiladzie pustych pokoi, do których drzwi stały otworem. Spoważniał nagle i szepnął:

— Cóż to za kort mógłby być do jazdy na wrotkach?

Mimo całej rozpaczy, w której była pogrążona, Roberta zaśmiała się swym żywym, dźwięcznym śmiechem.

— Brawo, Ivan! Miałeś dziś dwa wspaniałe pomysły — rzekła. — Zasługujesz żeby cię mianowano parem angielskim, albo grandem hiszpańskim!

— A oto trzeci! — i niemniej doskonały — wykrzyknął Vivant. — Doprawdy, trzeba takich jak my idjotów, żeby nie pomyśleć o tem? — Czyż nie pamiętacie, co nam przykazał Ramon, przy pożegnaniu?

(C. d. n.).

ZAMEK Z EGZOTYCZNEJ BAJKI.

Rezydencja feudalna książąt Osaka w Japonji. Fotografja, która otrzymała pierwszą



KRUCHE BABECZKI. Zagnieść ciasto 30 dkg mąki, 20 dkg masła. 10 dkg cu-
a, 1 żółtka, soku i skórki z 1 cytryny.
asto spoczywa pół godziny, poczem wy-
da się nim cienko foremki popruszone
ką, zapieka przez 10 minut, potem
łada do każdej łyżeczkę kwaśnej gala-
retki, a na wierzch masę orzechową, spo-
rządzoną z 20 dkg tartych orzechów, 20 dkg
cukru utartego z 4 żółtkami i piany z 4
białek. Foremki ustawia się na blaszce i
piecze w wolnym piecu, potem wysypuje
się ciastka ostrożnie na sito, aby się nie
pogniotły. Sc. Ko.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 52 — GRUDZIEŃ — Dni 31
Niedziela **22** Zenona	Krupnik na rosole. Podróbka indycze w potrawie z ryżem. Pieczeń na dziko z makaronem i buraczkami. Strudel z jabłkami. Kolacja: Zimna pieczeń z sałatką z czerwonej kapusty i fasolki.
Poniedziałek **23** Wiktorii	Zupa pomidorowa czysta z kluseczkami. Włoska kapusta w lanem cieście. Polędwica po angielsku z jarzynami. Budyń czekoladowy. Kolacja: Pierożki z słodką kapustą.
Wtorek **24** Adama † wig.	Zupa ziemniaczana czysta. Sałata śledziowa. Kompot. Obiad wigilijny: Zupa rybna lub barszcz z uszkami. Mleczka rybne na muszelkach. Szczupak w sosie sardelowym z makaronem. Karp nadziewany i sałata z kiszonej kapusty. Łamańce z makiem. Kompot z suszonych owoców. Torty i ciasta.
Środa **25** Boże Narodzenie	Barszcz w filiżankach. Ryba w galarecie. Indyk nadziewany kasztanami. Sałata majonezowa z jarzyn. Kompot. Torty i ciasta. Sery, owoce. Kolacja: Ciepła szynka z sosem tatarskim.
Czwartek **26** Szczepana męcz.	Zupa z drobiu z ptysiowym groszkiem. Auszpik z móżgów cielęcych. Comber sarni lub ozór peklowany z makaronem. Kompot. Torty i ciasta. Sery, owoce. Kolacja: Pasztet zajęczy, sałata włoska.
Piątek **27** Jana Ewangiel.	Barszcz zabielany z jajem twardem. Kotlety jarzynowe. Karp pieczony z ziemniaczkami. Budyń z bułek w serwecie. Kompot z jabłek. Kolacja: Śledzie marynowane z bułką.
Sobota **28** Młodzianków m.	Zupa grzybowa. Naleśniki z mięsem. Zając duszony w śmietanie z francuskiemi kluseczkami. Tort domowy. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.

Życie towarzyskie i artystyczne

Obchód niepodległości zagranicą.



Kolonja polska w Lipsku urządziła z okazji 17-letniej rocznicy Niepodległości uroczystą akademję, która poza przemówieniami i pieśniami w wykonaniu towarzystwa „Harmonja", obejmowała produkcje baletu warszawskiego Tacjanny Wysokiej. Uroczystość stała się wielkim przeżyciem polskiej kolonji, zyskując jednocześnie szczere uznanie społeczeństwa niemieckiego.

Siódma wystawa teatru w Paryżu.



Ostatnio otwarto w Paryżu siódmą wystawę teatru, obejmującą liczne nadwyraz ciekawe eksponaty z zakresu teatrologji. Na zdjęciu widzimy ministra oświecenia publicznego, Mario Roustan, który dokonał otwarcia, oglądającego obrazy artystki paryskiej, Ginette Will.

Rocznica założenia uniwersytetu londyńskiego.



Rokrocznie Londyn uroczyście obchodzi rocznicę założenia swego uniwersytetu, przyczem asystują sfery oficjalne. Na zdjęciu od lewej rektor uniw. sir Edwin Deller, ambasador R. P. Edward hr. Raczyński, Earl of Athlone, wicekanclerz Anglji Eason i doktor Cheng, docent uniwersytetu.

Sukcesy krakowskiej śpiewaczki.



Uczennica p. Zboińskiej-Ruszkowskiej, p. Julja Ilnicka, zyskała ostatniemi estradowemi jak również radjowemi występami bardzo życzliwe przyjęcie u publiczności i krytyki, dzięki wyjątkowym walorom koloraturowym.

„Dama Kameljowa" na Kresach.



Teatr Wołyński objeżdża obecnie z tournée województwa wschodnie, grając „Damę Kameljową", która cieszy się dużem powodzeniem. Na zdjęciu J. Domańska w roli Małgorzaty Gautier (w środku), E. Burbianka, E. Czerwiński i K. Wichniarz.

Ciekawy koncert w Filharmonji Poznańskiej



Filharmonja poznańska wykonała ostanio III Symfonję znanego kompozytora poznańskiego, Stefana Bolesława Poradowskiego, zyskując nadwyraz korzystną ocenę krytyki. Orkiestrą dyrygował szambelan Feliks Nowowiejski.



GOŚCIE NASZYCH DZIECI

Żadne święta nie są tak wybitnie „dziecięce“, jak Boże Narodzenie z całym sztafażem specjalnych rozkoszy: choinką jaśniejącą świeczkami, niespodziankami pod choinką — ślizgawką, saneczkami, nartami, no i z dwoma tygodniami (nawet trochę więcej) bezapelacyjnej swobody i całkowitego wypoczynku.

Oprócz książki (tej z przygodami) sportów, spacerów i zabawy w ściśle kółku rodzinnodomowem, punktem ciężkości tego świątecznego okresu jest życie towarzyskie. Nasze dzieci odwiedzają swoich przyjaciół i znajomych, bywają zapraszane na podwieczorki (zależnie od wieku), marzą tylko o tem, aby się móc zrewanżować tym, którzy ich u siebie przyjmowali, podzielić się dorobkiem gwiazdkowym, zaprezentować wszystkie skarby, które nie przestały być jeszcze podniecającą wyobraźnię nowością.

To też kochającej Mamusi nie pozostaje nic innego, „jak wziąć nowy kłopot na głowę“ i urządzić przyjęcie dla przyjaciół i znajomych swoich dzieci. Ale jak to zrobić, aby wypadło dobrze, no i nie nadszarpnęło zbytnio i tak nadwerężonego świętami, kryzysowego budżetu!... — Jak najprościej — i zostawić jak najwięcej inicjatywie, a nawet rączkom samych dzieci.

Mamusia musi tylko wszystkiem kierować, ale zdaleka, tak aby jej opieka nie była zbyt widoczną.

Wiemy wszyscy, co to za wielkie, epokowe przeżycie dla dzieci, móc oczekiwać „swoich“ gości, pomagać w przygotowaniu i upajać się tym przygotowawczym nastrojem.

Zasadą więc być musi, że wszystko będzie obmyślone i wykonane ze współudziałem młodocianych gospodyń i gospodarzy domu. Nie wyłączajmy z tego i chłopców, bo i oni (zwłaszcza w młodszym wieku) lubią tego rodzaju imprezy.

Narzekamy na takich mężów, dla których nalanie szklanki herbaty jest bohaterskim wyczynem, a zazwyczaj synów od zarania ich życia przyzwyczajamy do wyciągania kasztanów z ognia, cudzemi rękoma. Wpajajmy i małym i młodym poczucia aktywnej gościnności, polegającej na pewnym wysiłku! Faktem jest przecież, iż dzieci wzajemnie rozumieją się lepiej niż ze starszymi, to też młodzi gospodarze lepiej wyczują niż dorośli, co może dać największą sumę radości, podnieci humor i wyobraźnię.

Wyobraźnia dziecinna to precyzyjna maszyna, która pracuje zupełnie inaczej, niż u dorosłych i wymaga specjalnych pożywek, nie dla każdego z dorosłych zrozumiałych. Pod żadnym też pozorem nie wolno lekceważyć strony estetycznej, jakkolwiek lekceważenie tego czynnika w stosunku do dzieci spotyka się niestety bardzo często. Starsi zapominają, że dzieci są bardzo wrażliwe, choć piękno i brzydotę czasem inaczej, niż dorośli pojmują.

Zarówno „przyjęcie“, jak nakrycie stołu i całe otoczenie powinny nosić cechy estetyki i starania. Pamiętajmy o tem, że są to wzory, które zapadają głęboko w pamięć i wyobraźnię dziecka.

Najczęściej spotykanym i najwygodniejszym typem przyjęcia dla dzieci jest

podwieczorek.

Dzieci bawią się w domu, który je zaprosił zwykle mniej więcej od 3—7, a czasem od 4—8. Punktem kulminacyjnym przyjęcia będzie tu podwieczorek. Stół musi być starannie nakryty — barwną haftowaną serwetą. Serwetki damy papierowe i w dużej ilości. Na środku ustawimy płaski koszyk z owocami, przybrany gałązkami jedliny, jemioły, lub mchami. Koszyk musi być ustawiony tak, aby nie zasłaniał vis a vis.

Zgóry trzeba sobie obmyśleć, gdzie się które dziecko posadzi i miejsce jego oznaczyć karteczką z imieniem, lub też jakimś kwiatuszkiem, owocem, czy zwierzątkiem. Jest tu szerokie pole do popisu dla młodych gospodarzy, mających pewną wyobraźnię i jakie takie (choćby nieduże) zdolności dekoracyjne.

Tam, gdzie przy stole siada niewiele dzieci, można ich miejsca zaznaczyć zgrabnie związanemi kokardkami różnych kolorów. Będzie to ciekawie i inaczej, niż zwykle, a jak wiadomo, wszystkie dzieci lubią niezwykłość.

Śliczną dekorację stołu na przyjęcia dziecinne stanowi malusieńka choineczka, osypana sztucznym śniegiem i żarząca się palącemi świeczkami.

Niemniej ważną kwestją jest zagadnienie, — co damy dzieciom do jedzenia. Rzeczy jak najprostsze. — Tutaj nie można się wysilać na żadne frykasy i wszelkie nadzwyczajności, są one zupełnie nie na miejscu. Podajemy zwykle czekoladę lub kakao, koniecznie z pianką, czasem herbatę (nie za mocną) i kawę zbożową, ale wtedy koniecznie ze śmietanką.

Jako podstawa, (apetyty zwykle są dobre), służyć będzie spora taca solidnych kanapek, które normalnie znikają w błyskawicznem tempie. Kanapki dla dzieci i młodzieży trzeba robić o wiele większe, niż dla dorosłych i nie wysilać się na żadne specjalne kombinacje, ale dać na nie wędliny, ser, pasztet (domowy) zimne mięso — unikać zaś wszelkich ostrych przypraw, jak: korzeni, musztardy, majonezów, marynat i t. p.

Trzeba dalej przygotować sporo słodyczy, a więc: pierniki (mało korzenne), torty domowe (wcale nie muszą być z typu tych najkosztowniejszych) różne kruche ciasteczka, faworki, pączki, placki pokrajane w zgrabne podłużne kawałki, szarlotkę na zimno; różne kremy, wszelkiego rodzaju kompoty i galaretki będą tu koniecznem uzupełnieniem. Dla trochę starszych, przygotujemy nieco lemonjady; można dać oranżadę, a nawet bardzo leciuteńki kruszon — to w tym wypadku, o ile urządzamy dla podlotków t. zw. herbatkę tańcującą.

Co do samej zabawy, to nad nią trzeba czuwać również taktownie, t. zn. tak, aby dzieci naszej opieki nie czuły, a to aby być „pod ręką“, gdy zachodzi potrzeba naszej interwencji.

Przed przyjęciem dzieci trzeba mieszkanie doskonale wywietrzyć i starać się, aby w całym domu było ciepło. Temperatura wszystkich pokoi powinna być mniej więcej jednakowa. Gdy dzieci przejdą do jadalnego pokoju, trzeba tam, gdzie się bawiły, otworzyć okna i zamknąć je przynajmniej na 15 minut przed powrotem dzieci. Zabawy ruchowe ryzykować można tylko tam, gdzie mieszkanie jest większe i gdy pokoje nie są z typu owych przysłowiowych „klitek“, jak się to zresztą teraz często zdarza. W tym wypadku należy meble posuwać pod ściany, aby dzieciakom było wygodnie biegać.

Ostatnie pół godziny (przynajmniej) powinno być przeznaczone na jakąś spokojną, siedzącą zabawę, aby dzieci zdążyły ochłonąć i nie wychodziły zgrzane.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga.

Domy nasze w przeważnej ilości są tak budowane, że mają bardzo zimne przedpokoje. Płaszczyki dziecinne na dobre pół godziny przed rozejściem się dzieci trzeba wnieść do pokoju, aby się trochę ogrzały.

PRZEPISY

odpowiednie na przyjęcie dzieci

CZEKOLADA. Proporcja — 1 łyżka czekolady, 1 żółtko, 1 szklanka śmietanki.

Czekoladę utrzeć, zagotować śmietankę. Na filiżankę śmietanki dać łyżkę stołową tartej czekolady i jedno żółtko, czekoladę ubić z żółtkiem, dodawszy trochę cukru miałko utłuczonego, rozprowadzić zimną śmietanką i lać do gotującej się śmietanki; kręcić drewnianą ubijaczką, aż śmietanka zagotuje się i powstanie piana; można też bić drucianą miotełką. Nalewać gorącą do filiżanek. Można gotować bez żółtek, sypiąc samą czekoladę do gotującej się śmietanki z cukrem, a w braku śmietanki można ją zastąpić dobrem mlekiem. Czekoladę robi się też na wodzie. W braku żółtka można zaprawić czekoladę mąką ziemniaczaną, której bierze się jedną łyżeczkę na sześć łyżek czekolady, lub kakao.

TORT ANDRUTOWY (WAFLOWY). 12 dkg czekolady, 12 dkg cukru, ½ szklanki śmietanki i jedną łyżkę masła zmieszać i rozgotować, na końcu dodać 12 dkg zmielonych orzechów i jeszcze gotować do gęstości. Przestudzić tę masę i przekładać nią andruty (kupuje się w paczkach). Oblać po wierzchu lukrem czekoladowym i wynieść na zimno.

CIASTECZKA PIASKOWE. 1/8 kilo masła zrumienić, ostudzić i zmieszać z 20 dkg mąki i 1/8 kg cukru. Dodać proszek waniljowy, lub inny zapach. Zagnieść miasto, wyrabiać z nie-

(Ciąg dalszy na str. 37-ej).





Na lewo: Ubranie sportowe, zestawione z odmiennych pod względem barwy i wzoru szewiotów.

Jak barwne są MATERJAŁY SPORTOWE!

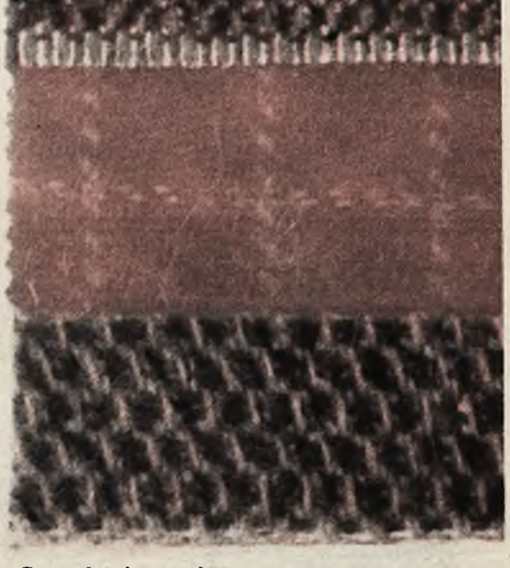
Odkąd sport przeniknął do najszerszych warstw społeczeństwa i stał się — że tak powiem — ich chlebem codziennym, zniknęły różnice. które jeszcze nie tak dawno zachodziły pomiędzy sezonem letnim a zimowym.

Dziś przedewszystkiem hokej, ale także i narciarstwo stwarzają szerokie możliwości w organizowaniu imprez, które pod względem frekwencji widzów bynajmniej nie pozostają w tyle za takimi np. meczami footbalowymi. Nie chodzi nam jednak o kibiców, lecz o czynnych sportsmanów, bo dla nich dopiero zima jest dziś prawdziwym rajem, który otwarł swe podwoje w chwili, gdy zrozumiano potęgę uroku sportu narciarskiego. W ten sposób powstały niezwykle szerokie ramy dla stosowania materjałów, fabrykowanych specjalnie dla celów sportowych.

Dawniej, jeśli chodziło o sezon zimowy, uwzględniano przedewszystkiem potrzeby myśliwych; w małej mierze tych, którzy kultywowali sport ślizgawkowy; więcej wszystkich innych, pragnących z pomocą swego stroju nadać sobie wygląd sportsmanów. Obenie np. przeciętny narciarz uważa, że przekroczyłby pierwsze przykazanie swego ulubionego sportu, gdyby zamiast długich, ze specjalnego materjału uszytych spodni, ubrał inne, o odmiennym kroju, a nawet barwie. To przestrzeganie ekskluzywnych form danego stroju sportowego przejawia się w większej jeszcze mierze wszędzie tam, gdzie chodzi o ludzi zamożnych i im tylko dostępne gałęzie sportu. Mamy tu na myśli polowania, jachting na lodzie, bobsleje i wiele innych.

Powstaje pytanie, jakie materjały nadają się najlepiej na ubrania sportowe. Jeśli chodzi o marynarki, to bezwątpienia na pierwszem miejscu postawimy wszystkie szewioty, a z samodziałów (home-spuny) „żelazne" Sportexy. Odznaczają się one doskonałą apreturą, precyzyjnem związaniem tkaniny wełnianej i co równie ważne oryginalnemi wzorami i świetnie dobranemi kolorami. Grubiej tkane samodziały znajdują zastosowanie przy kurtkach, pelerynach (myśliwskie) i płaszczach. Mylny dotąd pogląd, że i w tej dziedzinie przodują wyroby angielskie (Szkocja), zmieniło gruntownie wprowadzenie się na nasz rynek fabrykatów Zakładów Żurowskiego w Leszczkowie. Materjały tej firmy wyrugowały u nas już niemal w zupełności znacznie droższe, a zgoła nielepsze tkaniny zagraniczne.

Brummell.



Samodziały, wykonane na wzór szkockich homespun'ów, o pięknie stonowanych kolorach, podkreślone dyskretną kratą, fishgretem, lub nawet o gładkiem tle changeant, najlepiej nadają się na kurtki i peleryny myśliwskie, a nawet na płaszcze sportowe. Wzory: Zakłady Przemysłowe R. Żurowskiego w Leszczkowie.

Poniżej: Oto, jak powinien wyglądać praktycznie zestawiony strój myśliwego.





Na lewo: Szewioty zdobyły sobie już markę najpraktyczniejszych i zarazem najelegantszych materjałów sportowych.
Poniżej: Wśród samodziałów wybijają się na plan pierwszy t. zw. „Sportexy", specjalnie tkane materjały, odznaczające się niezwykłą wytrzymałością i pięknie zestawionemi barwami.
Wzory: Zakłady Przemysłowe R. Żurowskiego w Leszczkowie.



HOCKI-KLOCKI

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. PODZIELONY SPADEK.

Ojciec rodziny, umierając, zapisał trzem swoim synom i pewnej instytucji dobroczynnej 13.200 zł. Gdyby kwota zapisana na dobroczynność przypadła pierwszemu synowi, to dostałby on tyle, co dwaj pozostali razem. Gdyby przypadła drugiemu, to miałby dwa razy więcej od dwóch pozostałych, gdyby zaś trzeciemu, to trzeci otrzymałby trzy razy więcej od swych dwóch braci. Po ile złotych dostali trzej bracia?

2. GRÓB RODZINNY.

Oto treść napisu, wyrytego na pewnym grobie rodzinnym: Spoczywają tu dwie babki ze swemi dwoma wnuczkami; dwóch mężów ze swemi dwiema żonami; dwóch ojców ze swemi dwiema córkami; dwie matki ze swymi dwoma synami; dwie dziewczynki ze swemi dwiema matkami; dwie siostry ze swemi dwoma braćmi. A jednak w grobie tym spoczywa tylko sześć osób

Jak można wyjaśnić tajemnicę grobu rodzinnego?

ORYGINALNY RYBAK.



— Znam tutaj kącik spokojny, gdzie nic człowiekowi nie przeszkadza: nie ma tam ani jednej ryby... („Ric et Rac").

MIŁOŚNICZKA ZWIERZĄT.



— Na dzisiaj to starczy, Ferdynandzie. To ciągłe szczekanie może zmęczyć Azorka. („Le Rire").

Dokończenie ze str. 16-tej.

Toteż gdy na drugi dzień znalazłem się w klasie mego znakomitego profesora, dyr. Władysława Żeleńskiego, czekający na lekcję uczniowie, a wśród nich późniejszy uczeń Paderewskiego, dziś znakomity pianista Zygmunt Dygat i jego siostra p. Gromnicka, znana artystka dramatyczna, przyjęli mnie jeszcze serdeczniej, niż zwykle, rozpytując o szczegóły wielkiego wieczoru. Naturalnie wszyscy oni „jak jeden mąż" stawili się na koncercie. Dlatego jeszcze długo po nim żyliśmy wspólnemi wrażeniami uduchowionej gry Paderewskiego.

Ale i u wszystkich innych słuchaczy pamiętny ten recital pozostawił wspomnienie nieziemskiej biesiady muzycznej, wspaniałego daru, jaki społeczeństwu krakowskiemu złożył w trzy lata po Grunwaldzie, Paderewski— wielki artysta.

* * *

Karjera niejednego muzyka związana jest nieraz z momentami politycznemi. Gdy dotyczą one jego osobistych korzyści, spadają do poziomu zwykłej transakcji kupieckiej. Istnieją jednak wśród nich perły prawdziwego przywiązania do spraw ojczystych, często składane na ołtarzu dobra kraju z poświęceniem jedynej szansy w życiu. Ale najdroższym klejnotem staje się dopiero rozumna taktyka artysty, który zdobył sobie już najwyższe uznanie w całym świecie i sam, z własnej inicjatywy, za głosem swego wielkiego serca idzie drogą, na której niema przebaczenia dla wrogów Ojczyzny.

Takim artystą był od pierwszej chwili swej wielkiej karjery Ignacy Paderewski. Mimo wielokrotnych zaproszeń nie zasiadł on nigdy przy fortepianie na niemieckiej estradzie koncertowej, a w momentach namiętnej walki przeciw nam na terenie międzynarodowym umiał sparaliżować groźną akcję niemieckiej propagandy. Dlatego też doczekał się niekulturalnego „rewanżu" w formie niesmacznej karykatury, zamieszczonej przez tygodnik „Kladderadatsch", którą reprodukujemy na str. 16 niniejszego numeru. Nic więc dziwnego, że od tej chwili w całym świecie muzycznym, który czci naszego wielkiego artystę, Niemcy wyrobili sobie odpowiednią opinję, złagodzoną potem pojednawczym tonem polityki obecnego reżimu.

Dziś, gdy z odległości przeżytych od podniosłych chwil obchodu grunwaldzkiego dwudziestu pięciu lat spoglądam na późniejszy bieg wypadków, gdy w myślach idę drogą świetlaną w ślad za wielkim artystą, który nigdy ani przez chwilę nie przestał być równocześnie wielkim patrjotą, gdy uprzytamniam sobie, że właśnie on — król tonów — rzucił w decydującym dla Ojczyzny momencie całą potęgę swego władztwa na szalę decyzyj wielkich mocarstw i zwyciężył — wtedy dopiero widzę postać mistrza, która olbrzymieje z każdym więcej dowodem najwznioślejszych uczuć patrjotycznych i poza mury „samotni" w Morges urasta do symbolu najlepszego syna Ojczyzny.

Juljusz Leo.

Dokończenie ze str. 36-tej.

go małe orzeszki, kłaść na blachę i piec w słabym piecu, póki się nie zrumienią. Gdy są gotowe, powinny kruszyć się, jak piasek.

PRZYSMAK Z MIODU DLA DZIECI. Zagnieść najbardziej twarde ciasto z 2-ch szklanek mąki pszennej białej i z samych żółtek. Rozwałkować cieniutko, pokrajać w wąskie paseczki, a potem w kwadraciki. Trzeba bardzo drobno pokrajać, poza tem kluseczki nie mogą się zlepiać. Rozłożyć kluseczki cienką warstwą na blasze, wyłożonej papierem, wstawić do pieca po chlebie i trzymać dotąd, aż się lekko zrumienią i wysuszą. Włożyć do rondelka 1½ szklanki miodu, gotować, aż się przyżarzy, uważając jednak, by nie był zrumieniony zanadto. W gorący miód wsypać suche kluseczki i ćwierć łyżeczki miałkiego cynamonu, dobrze wymieszać parę razy i zagotować. Następnie wylać na talerze (lub deskę) dobrze zmoczone wodą i pokrajać na grubość palca. Gdy zastygnie, ale jeszcze nie zupełnie stwardnieje, pokrajać w paski wielkości palca. Złożony do słoja, przysmak ten stać może bardzo długo.

JELENIE ROŻKI. Rozetrzeć 10 dkg cukru, 5 dkg masła świeżego, trzy jaja całe i trzy żółtka, dodać cokolwiek skórki cytrynowej lub wanilji, wgnieść w to mąki tyle, aby ciasto dało się gładko wałkować i nie było zbyt twarde. Brać kawałki ciasta wielkości orzecha włoskiego, robić w ręku trzycalowe wałeczki; końcem noża maczać w mące i nadkrawać wałek trzy, lub cztery razy, naprzemian z jednej i drugiej strony, przez co uformuje się gałązka, czyli jeleni rożek. Smażyć na smalcu ostrożnie, wyjmując z rondla, kłaść na bibułę dla osączenia z tłuszczu, posypać cukrem z walinją i podać na legominę.

DELIKATNY KREMIK. Usmażyć gęsty syrop z 15 dkg cukru. Uwiercić na porcelanowej salaterce 12 dkg najlepszego masła na śmietanę, wbić dwa żółtka i dodać po trochu ostudzony syrop. Skoro wszystko będzie dokładnie połączone, dodać esencji kawowej, lub czekalodowej i trochę wanilji. Dobrze wystudzić i podać z waflami.

TORT JABŁKOWY. Osiem winkowatych jabłek obrać i pokrajać w plasterki. Dosypać pół funta cukru, trochę białego wina i skórkę z cytryny; gotować to na wolnym ogniu, mieszając, aż się jabłka rozgotują i zgęstnieją. Wtenczas wsypać garść rodzynków i 1/4 funta drobno pokrajanych migdałów i wszystko razem jeszcze dusić na wolnym ogniu. Następnie wsypać dwie łyżki mąki ziemniaczanej, wymieszać, włożyć w tortową formę i wstawić na kwadrans do gorącego pieca. Gdy ostygie, polukrować i przybrać konfiturami.

KULKI Z ORZECHÓW. 1/4 orzechów włoskich, albo laskowych zemleć na maszynce do migdałów, wymieszać z cukrem (1/4 kg mączki) i z 2 białkami, ubitemi na sztywną pianę i razem dobrze zagnieść. Z tej masy odkroić małe kawałki, a zwilżywszy ręce zimną wodą, formować kulki wielkości młodych ziemniaczków, te palcem w środku nacisnąć i trochę spłaszczyć. W miejsce naciśnięte włożyć jedną wiśnię, osiąkniętą z syropu, ułożyć na blasze, woskiem natartej i wstawić na 10—12 minut do średnio gorącej rury. Zamiast orzechów można użyć migdałów.

PLACEK Z KRUSZONKĄ. Proporcja: 1 kg mąki, 1/4 l mleka ,15 dkg cukru, 15 dkg masła, 4 jajka, skórka cytrynowa lub olejek aromatyczny, szczypta soli. Drożdże rozrabiamy w zwykły sposób w mleku, dodając nieco mąki. Gdy podrosną, dodajemy je do poprzednio przygotowanego ciasta, zrobionego z jajek, ukręconych z cukrem, masła topionego, pozostałej ilości mąki, oraz dodatków pod postacią otartej skórki cytrynowej, olejku pomarańczowego lub też cytrynowego, oraz szczypty soli. Wyrobiwszy ciasto doskonale, jak przy struclach, pozwalamy mu podrosnąć pod przykryciem i następnie rozciągamy na blachach wysmarowanych tłuszczem i wysypanych mąką i posmarowawszy placek masłem, dajemy na wierzch kruszonkę, przygotowaną następująco: 25 dkg masła topimy i gorącem polewamy 1 kg mąki, wyrabiając doskonale. Dodajemy 25 dk cukru, otartą skórkę cytrynową, trochę cynamonu i wyrabiamy dalej najlepiej palcami, aż utworzą się kawałeczki wielkości grochu. Kruszonką tą posypujemy placek. Gdy podrośnie dajemy go do pieca. — Krótko przed wyjęciem z pieca skrapiamy placek masłem topionem i posypujemy cukrem z walinją, będzie wyborny.

Marzenna Sarjusz-Stokowska.